

Zwrot

09
23

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 Kč
WWW.ZWROT.CZ

JULIA MACURA

ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

3 Miejscowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Żywocicach zorganizowało spotkanie z Karin Lednicką – pisarką, która akcję jednej ze swych książek osadziła w Żywocicach, a na warsztat pisarski wzięła losy osób związanych z tragedią żywocicką.

4-6 W Jabłonkowie odbyło się 76. Gorolski Święto. Uroczystość rozpoczęła się symbolicznym przekazaniem przez burmistrza Jiřego Hamroziego kluczy do miasta organizatorom tej imprezy, czyli Miejscowemu Kołu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Jabłonkowie. Na scenie wystąpiły liczne zespoły muzyczne, zarówno polskie, jak i słowackie, czeskie, oraz goście zagraniczni, zaproszeni dzięki współpracy z Tygodniem Kultury Beskidzkiej. W trakcie festiwalu nie zabrakło także wystąpień gawędziarzy oraz pokazów obrzędów pasterskich związanych z wypasaniem wołów na halach babiogórskich. Warto również wspomnieć o jubileuszowym występie zespołu folklorystycznego *Zaolzi* i zespołu dziecięcego *Zaolzioczek*, które obchodziły 20-lecie istnienia i zaprezentowały specjalny program jubileuszowy. Gorolskiemu Świętu towarzyszyły różne wydarzenia, w tym Kawiarenka pod Pegazem, gdzie można było wysłuchać poezji Ewy Sabeli-Furtek. Sobota przyniosła liczne występy zespołów folklorystycznych, a także imprezy sportowe, takie jak rajd turystyczny *O kopyta Macieja* i bieg przełajowy *O dzbanek mleka*. Wieczorem odbyły się koncerty rockowego zespołu *Ampli Fire* oraz słowackiego zespołu *Hrdza*. Niedziela pomimo deszczu przyniosła tradycyjny korowód oraz program kulturalny, a festiwal zakończył się koncertem zespołu *Dr. Ong*. ▼



5 Pod pomnikiem upamiętniającym ofiary Tragedii Żywocickiej odbyły się uroczystości wspomnieniowe upamiętniające 79. rocznicę tego wydarzenia. Tragedia była największą na Śląsku Cieszyńskim zbrodnią dokonaną przez Niemców podczas II wojny światowej. Masakra miała miejsce 6 sierpnia 1944 roku, gdy Niemcy zastrzelili 36 niewinnych mężczyzn: 28 Polaków i 8 Czechów – mieszkańców Żywocic i okolicznych wiosek. Podczas uroczystości w podniosłej atmosferze odczytano nazwiska ofiar. Symbolicznie wypuszczono 36 gołębi. Odegrano hymny państwowe: polski i czeski, a atmosferę refleksji i zadumy podkreśliły występy śpiewaków. Przy pomniku wartę honorową pełnili funkcjonariusze Wojewódzkiego Dowództwa Wojskowego w Ostrawie, żołnierze



Wojskowej Asysty Honorowej z Warszawy, harcerze i junacy. Rzeczpospolitą Polską reprezentowali Mateusz Gniazdowski, ambasador RP w Pradze oraz Izabella Wołłejko-Chwastowicz, konsul generalna RP w Ostrawie. Kwiaty pod pomnikiem złożyli potomkowie ofiar, przedstawiciele instytucji i organizacji, w tym Helena Legowicz, prezes Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego czy Stanisław Kołek ze Stowarzyszenia OLZA PRO, które złożyło wniosek do Ministerstwa Kultury RC o objęcie 26 steli upamiętniających w terenie ofiary Tragedii Żywocickiej ochroną zabytkową. Organizatorem uroczystości było Miasto Hawierzów, Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC, Czeski Związek Bojowników o Wolność (Český svaz bojovníků za svobodu), Muzeum Ziemi Cieszyńskiej w Czeskim Cieszynie (Muzeum Těšínska) i Czesosłowacki Związek Legionistów (Československa obec legionářská).

5 W tym roku uczestnicy rajdu rowerowego po żywocickich stelach dotarli wprost na centralne uroczystości wspomnieniowe (*patrz wyżej*). Rowerzyści wyruszyli z przystanku kolejowego Hawierzów-Sucha. Nie po raz pierwszy w rajdzie udział wzięli kolarze z Klubu Kolarskiego *Ondraszek* działającego przy Oddziale PTTK *Beskid Śląski*. Prowadzona przez Władysława Kristena grupa odwiedziła część rozsianych po okolicy miejsc pamięci. W sumie rowerzyści pokonali 7 km, nim dotarli pod pomnik, przy którym odbywały się uroczystości wspomnieniowe.

6 Gorolski Święto było okazją do przekazania odznaczeń Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej. Trójka zasłużonych działaczy Miejscowego Koła PZKO wpisała się do Złotej Księgi Zasłużonych PZKO. Uroczystość miała miejsce w niedzielę w Domu PZKO podczas śniadania, na które zapraszani są oficjalni goście Gorolskiego Święta. Miejscowe Koło PZKO w Jabłonkowie nominowało do wpisu do Złotej Księgi Zasłużonych PZKO trzy osoby – Jana Rytkę, Marię Sikorę oraz Zygmunta Stopę. ▼



7 Zespół Folklorystyczny Bystrzyca wraz z kapelą *Bezmiara* wyruszył na tygodniowy wyjazd do Drnholca. Wyjazd różnił się od poprzednich, ponieważ celem zgrupowania nie była tylko nauka nowych choreografii, ale także integracja i wzmocnienie więzi w zespole. Tancerze ćwiczyli oczywiście tańce i śpiewy, jednak zajęcia miały charakter *teambuildingowy*. Oprócz prób członkowie wyjazdu mieli okazję zwiedzić Brno – zamek Szpilberg oraz nowo otwarte atrakcje brneńskiego planetarium. Zaliczyli zabawę *laser game*, wyjechali także do parku wodnego i zwiedzili winnice w Drnholcu. Wspólnie gotowali w ramach konkursu *Masterchef La Bobul* czy też podbudowywali kontakty w trakcie gier planszowych. ▼



8 Stanisław Gawlik został odznaczony Złotym Krzyżem Związku Żołnierzy Polskich oraz srebrnym medalem będącym najwyższym odznaczeniem przyznawanym przez Związek Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego. W ten sposób doceniono długoletnią troskę Stanisława Gawlika o polskie miejsca pamięci na Zaolziu. Gawlik odebrał odznaczenia w siedzibie Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej z rąk harcmistrza Henryka Konarskiego, oficera Wojska Polskiego w stanie spoczynku. ▼



11 W kawiarni *Kamerlik* można było posłuchać koncertu trio jazzowego w wyjątkowym składzie: Michal Šupák (klawiszowe) i Pavel Pilch (perkusja) – dawni członkowie zespołu *Charlie Straight*, którym towarzyszył Eugeniusz Kubat (kontrabas), znany również jako basista zespołu *Akurat*.

12 W Amfiteatrze im. K. Klenczona Domu Polonii w Pułtuskusku odbył się wyjątkowy koncert. Na scenie zagrała kapela góralska z Zaolzia w składzie Chrystian Heczko, Vojtěch Pazdera i Dominik Poloček, z którymi wystąpiła Natálie Lýsková. Koncert połączono z degustacją potraw regionalnych. Goście mogli skosztować pieczonego barana, gulaszu z baraniny, knedli, serów, kołaczy i innych produktów regionalnych z naszego regionu. Organizatorem koncertu było Stowarzyszenie *Wspólnota Polska*. ▼



12 W wieku 93 lat zmarł Albert Grzebień, znany i ceniony działacz i społecznik. W latach 1950–55 był nauczycielem w polskiej szkole w Boguminie, po czym przeszedł do Huty i Druziarni Bogumin, gdzie pracował aż do emerytury. Działał w ruchu młodzieżowym. W latach 1947–51 był członkiem Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Skrzeczoni. Od 1952 roku aktywnie udzielał się w pracy skrzeczonińskiego Koła PZKO. Członkiem zarządu i komisji rewizyjnej MK był nieprzerwanie w latach 1955–2019, ponad 30 lat był skarbnikiem Koła. Ponad 50 lat był członkiem chóru mieszanego *Hasło*. W latach 1947–87 był członkiem zespołu teatralnego *Świt*. Najbardziej znany był jednak jako wokalista popularnego skrzeczonińskiego zespołu estradowo-kabaretowego *Andrusi*, największym zainteresowaniem widzów cieszyła się stworzona przez niego postać niezapomnianej



i niezwykle popularnej *Skrzeczonianki*. Był członkiem zarządu Stowarzyszenia Rodziców i Przyjaciół Szkoły działającego przy polskiej szkole w Lutyni Dolnej. Otrzymał odznaczenie Zasłużony dla Związku I stopnia – złota odznaka po raz drugi połączona z wpisem do Złotej Księgi Zasłużonych ZG PZKO.

13 W Cierlicku-Kościelcu odbył się odpust ku czci św. Wawrzyńca. Miały miejsce dwie msze święte, przygotowane były stoiska odpustowe oraz karuzele, a w Domu Polskim Żwirki i Wigury można było zjeść kołaczki lub pyszny obiad oraz obejrzeć wystawę. Dostępna była również Izba Pamięci Żwirki i Wigury. Natomiast przed budynkiem przygrywała orkiestra dęta *Hasićanka* z Suchej Górnej, a dzieci mogły przejechać się na koniu.

14 W bystrzyckim MUZ-ICu otwarto wystawę pt. *Kwiaty dla Anieli Kupiec*, która powstała w 2020 roku z okazji setnej rocznicy urodzin autorki oraz pierwszej rocznicy jej śmierci. Wystawę przygotował Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w RC i Archiwum Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej. Ekspozycja, która składa się z dziewięciu dużych plasz, nosi tytuł *Kwiaty dla pani Anieli Kupiec*. Częścią ekspozycji bystrzyckiego muzeum jest kąciak poświęcony Anieli Kupiec. Można tam zobaczyć jej osobiste rzeczy – maszynę do pisania, czepiec, *hackę* czy ulubiony garnek. ▼



17 W *Cafe Rotigel* w Piotrowicach odbył się wernisaż wystawy obrazów Izabeli Sajdok. Wystawę pomogła jej zorganizować siostra, która pracuje w kawiarni. Artystka urodziła się w Karwinie, lecz obecnie mieszka już od dziewięciu lat w Australii. Izabela jest artystką, malarką, fotografką oraz tatuażystką. Wystudiowała kulturoznawstwo w Katowicach. ▼



18 Członkowie Polskiego Towarzystwa Turystycznego *Beskid Śląski* wzięli udział w nocnym rajdzie. Z Trzyńca wystartowali pod osłoną nocy. Na metę w Domu Polskim w Bystrzycy dotarli nad ranem następnego dnia. Była to już czwarta edycja rajdu. W tym roku trasa prowadziła z Trzyńca przez Ostry (709 m n.p.m.) i Praszywą (542 m n.p.m.) do Bystrzycy. Turyści wyruszyli po godzinie 22.00, a na miejsce dotarli grubo przed wschodem słońca – o godzinie 3.30. W rajdzie nocnym wzięło udział czternaście osób. Najmłodszym uczestnikiem była dwunastoletnia turystka. Trasa liczyła dokładnie 16,7 km i ponad 600 metrów przewyższenia w górę.

GALERIA ZDJĘĆ

Dożynki 2023 | 3

ROZMOWA ZWROTU

Julia Macura | 6

KOLEKCJA KS. SZERSZNIKA

Unikatowe zabytki antyczne | 10

NASZE KLUBY

Czeski Cieszyn – Centrum | 13

REGION

Koleje losu sprowadziły ich na grunt przodków do Żukowa | 16

PAMIĄTKA RODZINNA

Dom na granicy w Szonowie
Wspomnienia Tadeusza Nowaka | 22

SZKATUŁKA

Klemens Słowiczek.
Wybitny barytonista ze Stonawy | 28

RECENZJA

Imitacje Księżniczki czyli
ile w Calderonie Calderona | 30

REPORTAŻ

Na rowerze tam,
gdzie biją cieszyńskie serca | 32

SPACER ZWROTU

Spacery Zwrotu
z prezesami Miejscowych Kół PZKO:
Jabłonków | 36

ROK WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

„Z nim pojechałabym na koniec świata”.
Wisława Szymborska
i Kornel Filipowicz | 44

Jesteśmy tam, gdzie coś się dzieje.

Sprawdź na:

www.zwrot.cz



19 września 2023
Jola i Renia – inne, a jednak takie same. Obie lubią pomagać potrzebującym [rozmowa]



19 września 2023
Szkoły już w tym budynku nie ma, ale jest tablica. 150 lat polskiego szkolnictwa w Sibicy



19 września 2023
Rekordowy Kobzól Szol w Sibicy. 300 gości zjadło 90 kilogramów ziemniaków



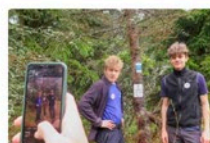
19 września 2023
„Fedrowani z folklorym” pod patronatem pierwszej damy. W ramach festiwalu prezentowane będą zdjęcia strojów ludowych



Najnowszy numer



19 września 2023
Rozpoczął się 48. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Zobacz, jakie filmy powalczą o Złote Lwy



19 września 2023
Zbliża się finał zabawy turystycznej Przez Kopce. Na zdobycie 10 szczytów w Beskidach zostało już tylko 6 tygodni



18 września 2023
Gródek na drugim miejscu w konkursie „Wioska Roku”. Nagrodę otrzymał m.in. za współpracę mieszkańców dwu narodowości



18 września 2023
Stulecie polonistyki w Czechach. W Emle odbył się wykład, wystawa i spotkanie poetyckie



18 września 2023
Lekcja historii na świeżym powietrzu. Kolejna edycja Młodego Żwirkwiska za nami [zdjęcia]



18 września 2023
Chór Lira wziął udział w Trojoku Śląskim. Nagrodą dla dyrygent Beaty Piłśniak-Hojki



18 września 2023
Dni Nydka z promocją książki. Wystąpiła Łęczka



18 września 2023
Książnica Cieszyńska przejdzie modernizację. Nowy system zabezpieczający



18 września 2023
Daniel Kadłubiec na MUR przywołaj! tłumy. Posłuchaj wykładu o Jerzym Cienciśle

NEWSLETTER

NAJWAŻNIEJSZE
WYDARZENIA NA ZAŁOŻY
W TWOJEJ SKRZYŃCE!

Podaj swój e-mail

ZAPISZ SIĘ

Zasady rozprawy osobnych listów

DLA PRENUMERATORÓW

KALENDARIUM WYDARZEŃ

wrzesień 2023

P	W	Ś	C	P	S	N
				1	2	3
4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17
18	19	20	21	22	23	24
25	26	27	28	29	30	
= ŚR =						

NAJCZĘŚCIEJ CZYTANE

[Salsander dożynkowy_Sorawski_gdzis!](#)

zwrot

magazyn regionalny

nr ewidencyjny MK ČR E 389
rok LXXIV, nr 886, IČ 442771,
numer konta: 232992221/0300

Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2023.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” imienia Jana Olszewskiego.

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / indi@zwrot.cz
Śárka Michalík / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28,
Český Těšín (Czeski Cieszyn)

czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12

Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyn)
tel. i faks: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Marian Siedlaczek

Redakcja obrazu i składu: Ivana Havlíková i Andrzej Havlík / info@studiomatrix.cz

Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyn

Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč, wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia przekazem pocztowym, przelewem lub bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca materiałów niezamówionych.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

Numer zamknięto 19 września 2023 • ISSN 0139-6277



Błędowice



DOŻYNKI 2023



Guty



Nawsie



ZDJĘCIA: BŁĘDOWICE - JOLA IWANUSZEK, GUTY - JOANNA CHMIEL,
NAWSIE - RENATA STASZOWSKA, OLDRZYCHOWICE - SYLWIA GRUDZIĘŃ,
PIOSEK - RENATA STASZOWSKA, STONAWA - DOROTA HAVLÍK

Oldrzychowice



Piosek



Stonawa





JULIA MACURA

TEKST: HALINA SZCZOTKA / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK

Ostatnio mogliśmy słuchać jej koncertu na Dolańskim Grómie, gdzie zachwycała publiczność. Wielu wróży jej ciekawą karierę. Ma na swoim koncie niejedno zwycięstwo na Festiwalu Piosenki Dziecięcej, może się pochwalić nagrodą Talent Roku 2021. Występowała też na koncertach Renaty Drössler. O miłości do muzyki rozmawiamy z Julią Macurą, uczennicą Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie.

Są w twojej rodzinie jakieś tradycje śpiewacze, czy może w rodzinie nie-śpiewających osób nagle pojawiło się śpiewające dziecko?

Moja starsza siostra Kasia bardzo ładnie śpiewa, ma kilka swoich nagrań, teraz występuje jako Rina. Natomiast jeśli chodzi o rodziców, to raczej nie zajmowali się na poważnie śpiewem. Mój dziadek ze strony ojca kiedyś śpiewał. A i przodkowie ze strony mamy śpiewali. Widocznie jakoś te talenty pokazały się u mojej siostry i u mnie.

Kiedy odkryto, że potrafisz śpiewać? Już od dziecka śpiewałaś tak ładnie czysto?

W przedszkolu, kiedy miałam trzy latka, wystawialiśmy Jasełka. Grałam rolę Marii i wtedy zaśpiewałam. Rodzice wspominają, że w tym momencie wszyscy uświadomili sobie, że mam talent, że trzyletnie dziecko potrafi tak czysto śpiewać. Ale to był tylko taki jeden moment. Potem przez kilka lat nie występowałam jakoś specjalnie. Dopiero w szkole podstawowej nauczycielka wychowania muzycznego, pani Olga Boczek, nagle zapytała mnie, czy nie chcę wziąć udziału w Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Odpowiedziałam: czemu nie. Nie wygrałam, ale udało mi się wtedy dojść do finału. Potem były kolejne edycje, które już wygrywałam i tak jakoś się zaczęło.

Czyli nie było tak, że rodzice, słysząc jak ładnie śpiewasz, zaczęli kształcić twój głos?

Nie. Chodziłam do szkoły muzycznej, ale uczyłam się gry na fortepianie. Po pierwszym festiwalu rodzice stwierdzili, że jednak śpiewanie mi wychodzi, więc posłali mnie dodatkowo na lekcje śpiewu. Chodziłam tylko rok, potem zrobiłam sobie przerwę i ponownie uczyłam się tylko gry na fortepianie. Ale pojawił się problem – więcej śpiewałam, niż grałam. Więc mój nauczyciel gry na fortepianie wysłał mnie do nauczyciela śpiewu i tak zostało. Skończy-

łam z nauką gry na fortepianie i zajęłam się śpiewem. Najpierw chodziłam na lekcje do pani Tamary Tomoszek, później zaczęłam się uczyć u Radka Morcinka, który uczy mnie śpiewać już osiem lat.

Co uważasz za swój dotychczasowy największy sukces?

Najbardziej cenię sobie zaproszenie Renaty Drössler, kiedy mogłam śpiewać w trakcie jej koncertów. No i na pewno tytuł Talent Roku 2021. Oczywiście też Festiwal Piosenki Dziecięcej, gdzie wygrałam trzy razy z rzędu. To też było niesamowite przeżycie.

NIE TYLKO ŚPIEW, ALE TEŻ TANIEC

Czy w tej karierze muzycznej jest coś, czego naprawdę nie lubisz, ale wiadomo, że musisz to robić?

Prawdę mówiąc, nigdy mi nie wychodziły piosenki ludowe. Staram się do nich przekonać, staram się podchodzić do nich z sercem, ale – niestety – absolutnie mi to nie wychodzi. Mam bardziej popowo-jazzowy styl. Postanowiłam jednak (co może niektórych zdziwić) zostać członkiem zespołu folklorystyczne-

go, więc kto wie, może mój stosunek do muzyki ludowej też się zmieni. Będę teraz tańczyć w zespole Bystrzyca.

Więc nie tylko śpiew, ale też taniec?

Ja całe swoje życie tańczę. Moi rodzice oboje są przecież mocno związani z tańcem. Tata przez dziesięć lat tańczył w Elanie, odnosił sukcesy. Moja mama przez pięć lat tańczyła balet, później taniec sceniczny. Cała rodzina jest zatem bardzo taneczna.

A ty?

Ja poszłam w trochę inną stronę, tańczyłam hip-hop i street dance. No, a teraz chcę spróbować folkloru, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Wszyscy koledzy mówią o swoich zespołach, o tym, jak chodzą na próby, jak jeżdżą na występy, więc postanowiłam też spróbować.

W sumie w zespołach toczy się życie towarzyskie młodzieży na Zaolziu.

To prawda, to też jeden z powodów, dla których chcę spróbować.



NASZE GIMNAZJUM

Wróćmy do tematu śpiewu. Próbowalas może śpiewać muzykę poważną?

Nie, natomiast bardzo lubię szanson. Trafiłam na niego dzięki występom z Renatą Drössler. Ostatnio, na Dolańskim Grómiu, śpiewałam np. piosenkę *Dobranoc panowie, dobranoc*. Wciągnął mnie ten gatunek i w moim repertuarze jest już takich piosenek sporo.

Jesteś uczennicą Gimnazjum. Nie myślałaś, by pójść do konserwatorium uczyć się śpiewu?

Prawdę powiedziawszy, zastanawiałam się, czy nie zdawać po podstawówce do konserwatorium. Ale ostatecznie zwyciężył *gimpel*. Cała nasza rodzina jest związana z tą szkołą. Babcia, tata, wujek, siostra ją skończyli, mama tam uczyła. Gimnazjum to taka tradycja w naszej rodzinie. Żle bym się czuła, gdybym tam nie poszła. I nie żałuję. Ale kto wie, może po maturze jednak wybiorę się do konserwatorium, albo na wyższą uczelnię artystyczną.

Jesteś w drugiej klasie, w przyszłym roku już będziesz musiała wybierać seminaRIA z przedmiotów z myślą o maturze. Wiesz już, w którym kierunku pójdziesz?

Chyba podstawy nauk społecznych i biologii.

Czyli zmierzasz w kierunku studiów psychologii?

Tak. Bardzo mnie te tematy interesują. To moje nowe hobby. Czytam sporo literatury na ten temat.

MARZENIE O ZESPOLE

Śpiewasz solo. Nie marzysz o tym, by mieć własny zespół?

Oczywiście. To moje marzenie, chcę mieć obok siebie grupę muzyków, swój własny *band*. W sumie nigdy w żadnym zespole nie śpiewałam, zawsze występowałam solo. Ale kto wie, może do matury się uda zespół skombinować. Zwłaszcza że próbuję też z kolegami pisać jakieś swoje piosenki. Czasami improwizujemy i wychodzą z tego nawet ciekawe rzeczy.

Zdradź, w jaki sposób udało ci się nawiązać współpracę z Renatą Drössler.

To był taki przypadek, nie przypadek. Jeśli dobrze kojarzę, to polecił mnie mój nauczyciel muzyki. No, a potem okazało się, że jesteśmy w zasadzie sąsiadkami, bo mama Renaty Drössler mieszka nad nami. Ale nie znałyśmy się.

LUBIĘ ŚPIEWAĆ PO POLSKU I ANGIELSKU

Niektórzy nie lubią śpiewać po polsku, po czesku. Wolą język angielski. Jak ty podchodzisz do tego?

Nie lubię śpiewać po czesku. Wolę po polsku, a najchętniej śpiewam po angielsku, bo po angielsku najlepiej wyraża mi się moje uczucia. Po polsku też, ale po angielsku jakoś lepiej mi się śpiewa. Ale polskie

piosenki też są fajne. Trudne pytanie. Po czesku nie śpiewałam, wolałam już słowacki, jakoś lepiej mi brzmi.

A w szkole muzycznej nie miałaś problemów z tym, że chciałaś śpiewać po polsku?

Nigdy. Naprawdę. Mój nauczyciel zresztą też ma polskie korzenie. Na lekcjach rozmawiamy *po naszymu*. Bardzo się z tego cieszę, bo mogłam w szkole muzycznej przygotowywać się do Festiwalu Piosenki Dziecięcej.

Czyli można powiedzieć, że bardziej wiążesz swoją przyszłość z polskim rynkiem muzycznym, niż czeskim?

Myślę, że najfajniej byłoby śpiewać i tam, i tam. To mi się właśnie podoba u Ewy Farnej, że udało jej się przebić w Polsce i Czechach. Nie sądzę, by było rozsądne zamykanie się na którąś z opcji. Myślę, że warto być otwartym na wszelkie okazje, jakie przynosi nam los. Zwłaszcza że potrafię śpiewać w czterech językach – polskim, czeskim, angielskim i rosyjskim.

Zdradzisz, skąd rosyjski?

Po mamie, jej rodzina ma rosyjskie korzenie, choć mama urodziła się na Białorusi, dziadkowie mieszkają teraz na Białorusi, w Brześciu.





Nie chcę, by w przyszłości następne pokolenia na Zaolziu nie znały już polskiego.

Czyli myślisz, że twoi rówieśnicy nie wstydzą się tego, że są Polakami?

Myślę, że nikt się tego nie wstydzi. Przy najmniej w gimnazjum jesteście raczej dumni z tego, że jesteście Polakami. Zwłaszcza że osoby, które uczą się w gimnazjum, świadomie wybierają dalsze kształcenie w języku polskim. Uczniowie, którzy po podstawówce poszli do czeskich szkół, gwarą mówią już tylko w domu, po polsku prawie nigdzie, z kolegami z nowej szkoły już tylko po czesku. W gimnazjum jest inaczej. Mówimy gwarą w swoim środowisku, na lekcjach po polsku. Polska kultura i kultura zaolziańska jest tam utrzymywana. I to jest moim zdaniem ważne. Ważne jest to, że na Zaolziu ogólnie jest promowana kultura polska i nasza śląska, że możemy chodzić na Gorolski Święto, Dolański Gróm, dożynki itp. I mam nadzieję, że tak będzie również w przyszłości.

Oznacza to, że obecna sytuacja polityczna odbija się mocno na twojej rodzinie?

Bardzo. Babci i dziadka nie widziałam od czterech lat. A kiedyś jeździliśmy tam każde lato. To jest straszne, bo babcia i dziadek są już w podeszłym wieku, schorowani. Nie możemy tam wyjechać, ponieważ nie mamy pewności, czy moglibyśmy z Białorusi wrócić, czy by nas wypuścili. Nie możemy nawet postać babci pieniędzy albo jakiejś paczki, ponieważ nie dotrą. Dzwonimy do babci codziennie, ale to wszystko, co teraz możemy zrobić. Jak skończy się ten koszmar, to pakuję walizki i wyjeżdżam do babci na dwa miesiące. Bardzo za nią tęsknię.

Jak samą siebie określasz?

Zawsze mówiłam, że czuję się Polko-Czesko-Rosjanką. Choć teraz najbliższej chyba mam do polskości. Moi dziadkowie ze strony ojca są Polakami, chodzę do polskiej szkoły. Więc obecnie określam swoją narodowość jako polsko-rosyjską.

A śpiewasz po rosyjsku?

Nie, nie śpiewam. Ale czasami słucham rosyjskiej muzyki. No i lubię z mamą czasami śpiewać rosyjskie piosenki, ale to tak w domu, na wakacjach itp.

WZORY W MUZYCE

Kto jest twoim wzorem w muzyce?

Brytyjska piosenkarka Adele. Już jako mała dziewczynka lubiłam jej słuchać. Podziwiam to, co robi. Uwielbiam śpiewać jej piosenki, bardzo mi odpowiadają. Jeśli chodzi o muzykę, to Adele chyba od zawsze była moją największą miłością. Nie pamiętam, by ktoś wywarł na mnie takie wrażenie. Tzn. pojawiały się jakieś inne wzory, ale zawsze jednak wracałam do Adele. I jeśli miałabym wybrać styl muzyki, który chciałabym w przyszłości robić, to byłoby to coś w klimatach Adele.

Słuchasz polskiej muzyki?

Trochę słucham, mam kilka ulubionych utworów, wykonawców. Ale nie mogę powiedzieć, bym była znawcą polskiej muzyki współczesnej.

Twoi rówieśnicy w gimnazjum słuchają polskiej muzyki współczesnej?

Moim zdaniem jak najbardziej. Nasza generacja zna polską muzykę, polskich wykonawców. Na pewno wolimy polskie piosenki od czeskich. Słuchamy np. Sanah, która jest też moją ulubioną polską piosenkarką. Lecą Dawid Podsiadło, Mata. I moim zdaniem to ważne, by na Zaolziu młodzież słuchała polskiej muzyki.

PRACA NAD WIZERUNKIEM

Tworzenie własnego wizerunku jest trudną sztuką.

Tak, to prawda. Ważny jest nie tylko śpiew, ale też to, jak artysta wygląda, jakie ma ubranie, makijaż. Ważne, by było to spójne, by był widoczny i rozpoznawalny na scenie, ale trzeba też dbać o zachowanie pewnej równowagi. To wcale nie jest proste.

Kiedyś przyszła do nas do szkoły Ewa Farna i wtedy zapytałam ją, co jest kluczem do sukcesu w tej branży. A ona odpowiedziała mi, że trzeba być samym sobą. Znaleźć swój własny styl, nie naśladować stylu innych wykonawców. Czyli dobrze, gdy ma się opanowany warsztat, ale trzeba też mieć wyczucie, umieć włożyć do swoich piosenek coś własnego, unikalną część siebie.

Sama dbasz o swój wizerunek, czy ktoś ci pomaga?

Makijaż robię zawsze sama, lubię się w to bawić, eksperymentować. Natomiast, o ile chodzi o ubrania, to zawsze mogę liczyć na moją mamę i jej szafę (śmiech). Mama to mój stylistka. Dziewięćdziesiąt procent ubrań, które mam na sobie na scenie, to ubrania mojej mamy. Zwłaszcza że moja mama też szyje.

UNIKATOWE ZABYTKI ANTYCZNE

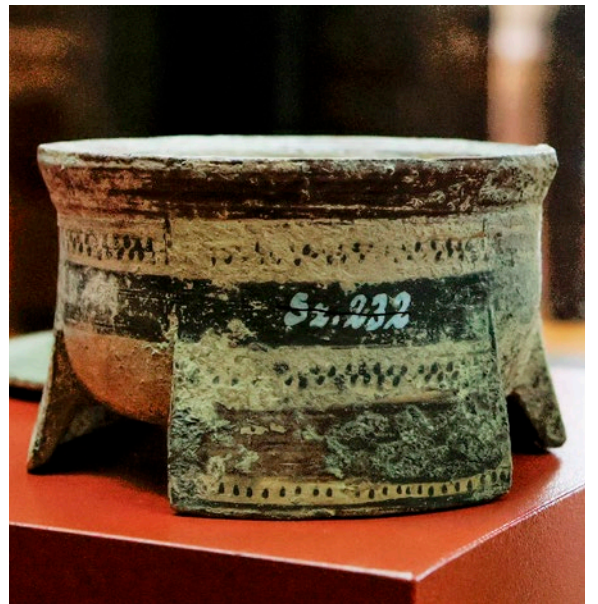
TEKST: EMILIA ŚWIDER / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK, FOTO RĘKI MUMII: KRYSZTOF FIRLA

W muzealnej kolekcji „Skarbów Szersznikowskich” nie możemy ominąć tych, które zachowały się w Dziale Archeologii. A są to istne rarytasy.

NACZYNIA STAROGRECKIE I FRAGMENTY FIGUREK

Jak zauważa archeolog Muzeum Śląska Cieszyńskiego Zofia Jagosz – Zarzycka, są to unikatowe zabytki pochodzące z różnych okresów i lokalizacji. – *Szczególne uwagę na ekspozycji cieszyńskiego muzeum skupia dziewięć niewielkich, ale niezwykle starannie wykonanych naczyń starogreckich. Cztery z nich zostały przekazane do zbiorów szersznikowskich 24 września 1846 roku przez pana Kniczka z Mistku, darczyńców pozostałych pięciu naczyń nie znamy – mówi pani archeolog. Dalej dowiadujemy się, że wśród naczyń antycznych są cztery pyksisy, czyli szkatułki z pokrywkami na*







ozdoby i kosmetyki, a także *lekyt* – to znaczy naczynie biało malowane o smukłym kształcie z przeznaczeniem na olejki wonne, składane do grobu wraz ze zmarłym, oraz *skyfos* będący rodzajem kubka z dwoma uchwytyami. Wymieńmy jeszcze *aryballos* – innymi słowy naczynie na pachnidła, dalej jest to niska i szeroka filiżanka oraz *oinochoe*, to znaczy dzbanek na wino. – Wszystkie wymienione zabytki pochodzą z okresu VII do IV w. p.n.e. i znalezione zostały zapewne w rejonie Attyki i Peloponezu – dodaje Zofia Jagosz – Zarzycka. Oprócz naczyń starogreckich, na wystawie poświęconej zbiorom L. J. Szersznika zobaczyć można trzy fragmenty figurek z VI i V w. p.n.e. przedstawiające głowy kobiece. Głowy te przykryte są szatą zwaną *chitonem*, a na dwóch z nich fragmentarycznie zachowało się naczynie na wodę.



PRZEDMIOTY ZE STAROŻYTNEGO RZYMU

Zabytki antyczne w zbiorach dawnego muzeum szersznikowskiego to również przedmioty ze starożytnego Rzymu, wśród nich lampka oliwna oraz niewielka sześciokątna płytką posadzkowa. – *Lampka wykonana jest z jasnej gliny, posiada okrągły zbiornik z dyskiem wklęsłym otoczonym potrójnym żłobkiem. Otwór olejowy znajduje się w samym centrum dysku, a palnik okrągło zakończony umieszczony jest symetrycznie po przeciwnej stronie imadła, czyli uszka. Lampka posiada na dnie znak „EY”.* Nie znamy okoliczności przekazania jej do muzeum Szersznika – opisuje zabytek pani archeolog. W przypadku płytki posadzkowej stary inwentarz podaje, iż znaleziona została w 1814 roku nieopodal Salzburga na polu uprawnym należącym do niejakiego Walsera. W okresie Cesarstwa Rzymskiego, za panowania Klaudiusza powstało tutaj miasto *Municipium Claudium*

Iuvavum, które stanowiło ważny ośrodek rzymskiej prowincji Noricum.

DŁOŃ MUMII EGIPSKIEJ

Fascynującym eksponatem w zbiorach archeologicznych jest dłoń mumii egipskiej przywieziona z Egiptu do Wiednia przez botanika i podróżnika Teodora Kotschyego w 1849 roku. Prawdopodobnie chodzi o dłoń kobiecą pochodzącą z pochówku egipskiego z VI wieku p.n.e.

Prześwietlenie rentgenowskie wykazało, że dłoń jest zdrowa, bez złamań i posiada wszystkie kości śródrezcza. Brakuje jednak kości nadgarstka. Każdy palec zabandażowany jest oddzielnie jasnobrązowym płótnem, kiuk oddzielony od reszty dłoni i podtrzymywany tylko przez płótno. Widoczna jest dobrze zachowana wysuszona skóra oraz paznokcie. Rękę mumii egipskiej darował muzeum w 1910 roku burmistrz Cieszyna Leonard Demel.



NASZE
KLUBY

KLUB KOBIET CZESKI CIESZYN - CENTRUM

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA, ARCH. REDAKCJI

Klub Kobiet przy Miejscowym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego Czeski Cieszyn-Centrum założony został w 1967 roku. O Klubie rozmawiamy z jego obecną przewodniczącą Anną Piskiewicz, która – gdy wstąpiła do Klubu Kobiet – była jego najmłodszą członkinią.

Od kiedy działa Klub Kobiet w Czeskim Cieszynie?

Już od lat 60. ubiegłego wieku. Dokładnie od 1967 roku.

Działa cały czas nieprzerwanie czy z jakimiś przerwami?

Wcześniej nie było Klubu Kobiet jako takiego. Po prostu działało Koło PZKO, które istnieje od 1947 roku. Panie od samego początku bardzo aktywnie w nim pracowały. Tyle że nie był jeszcze utworzony wtedy Klub Kobiet. Jednak od jego powstania w 1967 roku klub działa nieprzerwanie cały czas.



Od kiedy jest Pani jego kierowniczką?

Przez 33 lata kierowniczką Klubu Kobiet była pani Halina Branna – nauczycielka z Czeskiego Cieszyna. Zmarła dwa lata temu. Zgodziłam się wziąć tę funkcję, ponieważ będąc kierowniczką Sekcji Kobiet, która zrzesza wszystkie Kluby Kobiet, wydawało mi się, że dam radę.

A więc pełni Pani podwójną funkcję, bo przecież rozmawialiśmy jakiś czas temu o Sekcji Kobiet.

Tak. Prezesem Koła PZKO jest pani Małgorzata Rakowska, a kierowniczką Klubu Kobiet przy Kole od roku jestem ja. Po śmierci pani Haliny nie wybieraliśmy od razu nowej kierowniczkę. I tak każda pani wie, co ma robić, więc dopiero Małgosia po roku od śmierci pani Brannej zdecydowała, że ktoś powinien być tym kierownikiem. Więc ja się zgodziłam.

A od kiedy Pani działa w Klubie Kobiet?

Od 1974 roku. Ja byłam wtedy najmłodsza. Tamte panie, które już nie żyją, świetnie prowadziły nasz klub. Były bardzo dobrze zorganizowane. Przygotowywały różne pogadanki, kursy kulinarne. Byłam wtedy na urlopie macierzyńskim z synem i chciałam się czegoś nauczyć z zakresu ręcznych robót, ponieważ w sklepach nic nie było.

A więc w tamtych czasach, kiedy Pani zaczynała swoją przygodę w Klubie Kobiet, to było to stricte użytkowe i bardzo potrzebne...

Oj tak, bardzo potrzebne. Czasem zostawiałam dzieci mężowi i szłam na kursy kroju



i szycia czy kursy robienia na drutach, szydełkowania, wyszywania. Tam wszystkie panie cudnie haftowały, dlatego nasze wystawy były takie duże. Bardzo mi się to podobało, ponieważ moja babcia mnie nauczyła haftować. Wszywałam z babcią, już jak miałam siedem lat. Tak więc umiejętności wykonywania takich prac zdobyłam już w najwcześniejszym dzieciństwie od babci. Mając 18 lat, umiałam sobie uszyć fartuch, prostą sukienkę czy zrobić sweter na drutach, szydełkować, wyszywać. To wszystko były prace, których mnie już babcia z mamą nauczyły. Mama też umiała, ale ona nie miała tyle czasu.

A więc w Klubie Kobiet doskonaliła pani umiejętności, a nie uczyła się od podstaw.

No tak. A później kupiłam maszynę do robienia dzianiny i robiłam swetry, które mąż jeszcze gdzieś ma. Robiłam też sukienki z dzianiny, które w tych czasach były bardzo modne. Było to bardzo istotne w tamtych czasach, kiedy w sklepach nic nie było. Dzięki temu, że potrafiłam wiele rzeczy sama zrobić, dzieci miały całe komplety ubrań. Bo samą włóczkę można było kupić. Tylko trzeba było umieć z niej zrobić ubrania.

W czasach, które pani wspomina, rękodzielnicza działalność w Klubach Kobiet była bardzo użytkowa. A teraz, kiedy już w sklepach można dostać

wszystko, Pani nadal zajmuje się rękodziełem. Jaką więc rolę to rękodzieło pełni w pani życiu obecnie?

Ja ciągle muszę coś robić. A zgrabność rąk tylko pracą można ćwiczyć. Sprawia mi to niesamowitą frajdę. I uspokaja. Jak jestem zdenerwowana, czy coś mi nie wychodzi, to biorę szydełko albo druty i coś robię. Zawsze mam jakąś zaczęta robótkę, więc jak jestem zdenerwowana, to się zabieram do pracy i tak mnie to uspokoi, że za godzinę idę śpiwając do innej pracy.

Ciekawe... Bo ja ile razy patrzyłam na wystawach na te Pani wydmuszki, to myślałam sobie, że ja bym nie miała do takich prac cierpliwości, a jakby mi taka wydmuszka pod koniec pracy pękła, to dopiero by mnie to zdenerwowało...

W takich sytuacjach zawsze mówię, że są gorsze rzeczy, niż takie pęknięte jajko.

Jednak trzeba mieć niesamowitą cierpliwość, żeby to robić...

To właśnie wypracowuję taką cierpliwość.

Zastanawia mnie, czy robótki ręczne wymagające tak ogromnej precyzji i cierpliwości dlatego Panią bawią, że jest pani cierpliwa, czy też ich wykonywanie uczy Panią cierpliwości...

Myślę, że cierpliwa nigdy nie byłam. Bo ja tego muszę bardzo dużo w ciągu dnia



spróbować zrobić. Jak czegoś nie umiem, to muszę się nauczyć. A skoro cierpliwość jest do tego potrzebna i ja sobie uświadamiam, że jeśli nie wykonam tego w spokoju, to praca będzie na nic. A ja przecież potrafię – tylko muszę się uspokoić, muszę to robić pewnie. Niestety w ostatnich czasach mam problem z prawą ręką i już nie potrafię wszystkiego tak sprawnie zrobić. Tym bardziej chcę tę rękę ćwiczyć.

Wspominała Pani, że przychodząc do Klubu, Pani była najmłodsza członkinią. A w jakim wieku teraz są członkinie Klubu Kobiet? Jaka jest średnia wieku?

Niestety już się postarzałyśmy. Średnia jest ponad 60 lat, ponieważ są panie, które mają ponad 80 lat. Ale są też panie w wieku ok. 60 lat, które zaczęły teraz przychodzić.

Czyli świeże emerytki. Żadnej pani, która by jeszcze pracowała zawodowo i przychodziła do Klubu Kobiet, nie ma?

No tak, świeże emerytki są najmłodsze. Chodziły i młodsze, ale to tylko na gimnastykę, którą zawsze urządzamy we wtorki. Ćwiczy z nami pani doktor Molin, która prowadzi z nami taką gimnastykę dla starszych pań. Ćwiczymy na ziemi w pozycji leżącej albo siedzącej. Chodzi o ćwiczenia do utrzymywania kondycji.

A więc dbacie panie o zdrowie. Właśnie miałam pytać o to, jak często się spotykacie i co panie robią na tych spotkaniach.

Co tydzień, w każdy wtorek mamy spotkanie w naszej salce, gdzie omawiamy różne czekające nas imprezy i uzgadniamy, kto co załatwi, omawiamy wszystkie organizacyjne i kulinarne sprawy. Na tych zebraniach panie się umawiają, która co robi, która co ugotuje, przyniesie. Mamy bardzo dużo imprez, ale takich bardziej oświatowych. Oprócz mnie mało która pani z naszego Klubu Kobiet robi jakieś robótki.

To jest u was troszeczkę inaczej, bo bardzo dużo Klubów Kobiet skupia się głównie na zajęciach rękodzielniczych plus na sprawach kulinarnych dla całego Koła.

A my na przykład przez ostatni rok organizowaliśmy właśnie w te wtorki, po gimnastyce, wspólne śpiewanie. Na te spotkania przychodzi około 20–25 osób. Czasem robimy takie spotkania dla całego Koła. Panie już tam są, a później na takie spotkanie dochodzą też i panowie. Obecnie członków Miejscowego Koła PZKO Czeski Cieszyń Centrum jest około 240 osób. Czynnych, takich pracujących, jest około 15%. Nasz Klub Kobiet składa się nie tylko z członkiń Koła Czeski Cieszyń Centrum, ale również z Koła Osiedle. Bo Koło Osiedle nie ma Klubu Kobiet, w związku z czym panie z osiedla przychodzą do nas. Na gimnastykę również.

A ile członkiń liczy Klub Kobiet?

Mamy 28 pań i są to wszystko panie aktywne, które chodzą regularnie. Choć nie wszystkie chodzą każdy tydzień. Jak nas jest połowa, to też jest dobrze, bo chodzi o to, że na te ćwiczenia musi być miejsce dookoła, więc gdyby przyszło więcej, to już byłby problem techniczny...

Współpracują Panie jako Klub Kobiet z innymi Klubami Kobiet tudzież innymi organizacjami?

Chodzimy na wystawy innych Klubów czy imprezy innych Kół. Ale jakiejś takiej konkretnej, stałej współpracy nie ma. Najwięcej współpracujemy z Kołem Czeski Cieszyń Osiedle.

To na koniec: jak Pani widzi przyszłość waszego Klubu Kobiet?

Trzeba starać się, żeby jakoś pozyskać młode panie. Prezes Koła zaprasza młodzież na różne imprezy, nawet angażuje młodych do pomocy. Na przykład jak mamy zebranie członkowskie, to młodzież z Klubu Młodych pomaga przy tym.

Ale to już mówimy o działalności całego Koła, a nie Klubu Kobiet.

Sam Klub Kobiet raczej nie ma jakichś metodycznych planów pozyskiwania nowych członkiń. Chodzi nam o to, żeby przetrwał. Sukcesem w odmładzaniu się Klubu jest to, że przychodzą świeżo upieczone emerytki. Bo panie pracujące, a jeszcze w dodatku te młodsze, które mają dzieci, to się raczej udzielają w Macierzy Szkolnej, a na Klub Kobiet PZKO już nie mają zwykle czasu. Ale jak mieliśmy 75-lecie PZKO, to dużo młodych pomagało.

Czyli dopatrujecie się w nich przyszłego narybku i liczyacie na to, że jak już zmniejszy się ilość obowiązków rodzinnych i zawodowych, jakie mają, to będą aktywnie udzielać się w Klubie Kobiet?

Tak. Jeśli już teraz widzimy, że to są osoby, które pracują w Macierzy Szkolnej, to na pewno jest to narybek na przyszłość do pracy w Klubie Kobiet i w Kole PZKO. A przynajmniej mam taką nadzieję.

MOTTO: Miłość nie polega na tym, aby wzajemnie sobie się przyglądać, lecz aby patrzeć razem w tym samym kierunku

Antoine de Saint-Exupéry



KOLEJE LOSU SPROWADZIŁY ICH NA GRUNT PRZODKÓW DO ŻUKOWA

TEKST: EMILIA ŚWIDER, ZDJĘCIA: E. ŚWIDER I ARCHIWUM RODZINNE PAŃSTWA ŹERNIČKÓW

Panią Danutę Źerničkovą znam od chwili, kiedy nasze dzieci zdawały egzamin maturalny w Gimnazjum Polskim, a było to przed przeszło dwudziestu laty. W tym czasie wróciła na Zaolzie ze stolicy Czech, gdzie została po ukończeniu studiów prawniczych. Powróciła do swoich korzeni i wraz z mężem Vladimírem oraz synami zamieszkała w Żukowie Górnym w posiadłości swojego dziadka Karola Jungi, powszechnie szanowanej i znanej osobistości.

Jednakże nie od razu mogli wprowadzić się do zdewastowanego dawnego dworku swoich przodków. To historia dość zawiła, wszakże warta przypomnienia. Przy okazji odwiedzin wspaniale wyremontowanej posiadłości mam okazję obejrzeć liczne zachowane dokumenty i zdjęcia rodzinne. Wspólnie z państwem Danutą i Vladimírem zanurzamy się w nurt czasu.

ŻUKOWSKI GRUNT

Po wejściu na teren posiadłości od razu rzuca mi się w oczy obelisk z napisem GRUNT STEFANIA. Ciekawi mnie skąd ta nazwa, ale o tym dowiaduję się nieco później.

Najpierw gospodarze zapoznają mnie z historią siedziby rodziny wzniesionej około

1860 roku, którą w 1890 roku nabył ówczesny wójt Żukowa Górnego Józef Junga, pradziadek pani Danuty. W dwadzieścia lat później posesję przepisał na swojego jedynaka, który właśnie wrócił do domu po odbyciu służby wojskowej. Syn Karol miał wykształcenie rolnicze i dalej udoskonalał gospodarstwo rolne zakładając za domem piękny park z aleją grabów. Wspólnie z żo-

ną Stefanią pochodzącą z Wojkowic, ale całym sercem czującą się już Polką, z wielką pieczołowitością dbali o majątek ziemski zajmujący powierzchnię ponad 35 hektarów włącznie lasu i dwóch stawów. I tu mała dygresja.

OBIAD Z CESARZEM

W parku założonym przez Karola Jungę znajduje się pomnik cesarza austriackiego Franciszka Józefa I wykonany z miejscowego piaskowca. Wyryty jest na nim napis: *PAMIĄTKA cztery krotnego przejazdu Najjaśn. Pana Franciszka Józefa I podczas man. ces. w dniach 31. VIII i 11. IX 1906 ROKU. Wiadomo, że monarcha przebywał w naszym regionie czterokrotnie, po raz ostatni na przelomie sierpnia i września 1906 roku w ramach odbywających się na Śląsku Cieszyńskim manewrów wojskowych. – Cesarz z tego miejsca, z tego pagórka, skąd jest wspaniały widok na wszystkie strony świata, dowodził manewrami wojsko-*



wymi. Fakt ten został zapisany w dokumentach – opowiada pan Vladimír. W tym czasie właścicielem posiadłości był wójt Żukowa Górny Józef Junga i on zaprosił

cesarza na poczęstunek. – Cesarz przyjął zaproszenie mojego pradziadka i jadt obiad w naszej jadalni, z czego jesteśmy niezmiernie dumni – dodaje pani Danuta.



Ślub Stefanii i Karola Jungów, rok 1918



Abrahamowiny K. Jungi w parku za domem, 1937 r.

ROLNIK, SPOŁECZNIK, POLITYK

Powróćmy do Karola Jungi. Był on nie tylko rolnikiem, ale też aktywnym społecznikiem i politykiem, w latach dwudziestych ubiegłego wieku posłem Sejmu Ustawodawczego RP, później wygrał wybory do Morawsko-Śląskiego Przedstawicielstwa Krajowego w Brnie jako reprezentant ludności polskiej w Czechosłowacji. Tak samo, jak jego ojciec, piastował w rodzinnej wsi urząd wójta. Podczas II wojny światowej został aresztowany przez gestapo z powodów politycznych i skazany na karę dwóch lat pozbawienia wolności. Męczony w więzieniu w Katowicach zmarł wskutek wycieńczenia w 1943 roku w wieku 56 lat. Żona została na gruncie sama z trojgiem dzieci i wnukiem.

PONURA KARTA PRZESZŁOŚCI

Po śmierci męża rozpoczyna się dla wdowy Stefanii niezmiernie trudny okres życiowy. – Za to, że zrobiła dziadkowi pogrzeb, została ze swoją rodziną, czyli również z moją mamą Aleksandrą, przewieziona do Polenlagru w Boguminie, a na gospodarstwo wprowadzili się Niemcy. Babunia była Czeską i dlatego podjęta wszelkie starania, by z tagru wrócić do domu. Całe szczęście się udało. Wprawdzie wypuścili ją, niestety nie mogła zamieszkać w Żukowie, gdyż w ich dworku stale mieszkała niemiecka rodzina. Pojechała więc do swojej mamy do Frydku. Po przegranej wojnie Niemcy musieli opuścić żukowski grunt i babunia nareszcie mogła tam powrócić, troszczyć się i dbać



„Walicówka” w r. 1913. Foto profesora z okazji wyjęcia
młóć nowonowyj z niemieckami.

„Walicówka” została zakupiona przez rodzinę w r. 1890.
Następnego roku wypróżnili się do niej. Na koniec wsta-
nowie miasta 15. grudnia 1910, gdy po odłożeniu się z woj-
nowej wóci sam do domu (Żuków Świąt. L. 20.)



1939.



Stano „Pisicze” 1938.

Zapis K. Jungi w kronice rodzinnej z r. 1939



Stan posesji r. 1994



Rozpoczęcie remontu

NAJUKOCHAŃSZA BABUNIA NA ŚWIECIE

– Babunia Stefania była wyjątkową kobietą, wspaniałym człowiekiem, byłyśmy ze sobą mocno żyte, rozumiały się wzajemnie i razem spędzały mnóstwo czasu. Kochałam ją nad życie i kiedy zmarła w wieku 76 lat, poczułam w sercu wielką pustkę. Bardzo mi jej brakowało i brakuje po dziś dzień – wspomina ze smutkiem w głosie wnuczka Danuta.

Pan Vladimír poznał panią Stefanię w roku 1969, kiedy był po raz pierwszy w Karwinie u mamy i babci swojej przyszłej żony. – Pojechaliśmy do Żukowa, spacerowali po okolicy, panie pokazały mi grunt swoich przodków, na który nie mogliśmy niestety wejść, bo była tam spółdzielnia rolna i pamiętam, że wszystko było bardzo zniszczone. Pomimo to podświadomie coś mnie tam przyciągało. Niemniej jednak nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałem, że za kilka lat wyprowadzę się z Pragi, by osiąść na tym gruncie. Ale jak to się mówi: Człowiek mniema, Pan Bóg zmienia – śmieje się pan Vladimír. Panią Stefanię wspomina jako bardzo postępową, nowoczesną jak na te czasy kobietę, która już wtedy jeździła konno sposobem męskim, czyli okrakiem, paliła papierosy z długiej lufki, była mądra, energiczna, zawsze elegancka, po prostu dama w każdym calu. Tak zapamiętali ją również starsi mieszkańcy Żukowa. Zatem obelisk z napisem GRUNT STEFANIA przypomina tę niesamowitą i wspaniałą kobietę, a jej najbliżsi w ten sposób uczcili pamięć ukochanej Babuni.



Sprzątanie okolicy domu

o posiadłość. W olbrzymiej mierze zastąpiła się o jej piękny wygląd – opowiada pani Danuta. Wydawać by się mogło, że nareszcie los zaczął się uśmiechać do pani Stefanii, jednak radość nie trwała długo – tylko pięć lat. Kiedy w latach 50. zaczęto zabierać rolnikom prywatne gospodarstwa i siłą przekształcać je w państwowe gospodarstwa rolne, pani Stefania nie pogodziła się z tym. Nie przekazała gospodarstwa na rzecz Skarbu Państwa. Mąż w ostatnim swoim liście z katowickiego więzienia napisał do ukochanej żony, by ich ziemi nigdy nie sprzedała. I tak się stało. Komuniści nazwali ją kułaczką i wytoczyli jej proces publiczny.

– W 1951 roku przyjechały pod dom dwa samochody i babcię zabrano do więzienia. Była ubrana tylko w lekką sukienkę, nic nie

mogła ze sobą zabrać. Dom został zamknięty, nikomu nie wolno było tam wejść, nawet synowi, który wrócił ze służby wojskowej. Dlatego pojechał do mojej mamy mieszkającej już w tym czasie w Karwinie. Babunia została skazana na siedem lat więzienia, ponadto musiała zapłacić karę grzywny w wysokości sto tysięcy koron. Po trzech latach została zwolniona za dobre zachowanie, ale na grunt nie mogła wrócić ani ona, ani nikt z rodziny, bo posiadłość należała do państwowego gospodarstwa rolnego. Po powrocie z więzienia babunia zamieszkała u mojej mamy w Karwinie, a ponieważ mamusia musiała chodzić do pracy, babunia mnie wychowywała. W związku z tym, że orzeczona została kułaczką, nie przyznano jej ani żadnej emerytury, ani nie mogła podjąć żadnej pracy – opowiada pani Danuta.



Syn Marek przy remoncie



Z PRAGI PRZEZ WARSZAWĘ DO ŻUKOWA

Państwo Řezničkové są polsko-czeskim małżeństwem. Pani Danuta po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Karola pracowała na Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w roku 1990 rozpoczęła czteroletnią misję dyplomatyczną w Polsce, najpierw w Szczecinie, potem w Ambasadzie Czeskiej w Warszawie. Mąż i dwaj synowie, Marek i Tomasz, oczywiście pojechali z nią. Była to wielka zmiana dla całej rodziny, pan Vladimír zajmował w Pradze wysokie stanowisko, a jednak zrezygnował z niego i postanowił wyjechać z całą rodziną. – *W życiu każdego z nas przychodzą takie chwile, zasadnicze momenty, w których musimy podjąć ważne decyzje. Dzisiaj z perspektywy czasu wiem, że podjęłam decyzję właściwą, pomimo iż w Warszawie miałem zostać tylko „mężem siedzącym w domu”* – mówi z uśmiechem mój rozmówca. Panu Vladimírowi ojczysty język żony przypadł do serca. Dzięki pobytowi w Polsce i późniejszej długoletniej współpracy z polską firmą opanował go dobrze. A na marginesie, najbardziej fascynują go zdrobienia imion. Dlatego do swojej ukochanej żony mówi Lалуška, bo tak ją nazywali w domu.

ZWROT ZAGARNIĘTEGO MAJĄTKU

Państwo Danuta i Vladimír zyskali żukowski grunt w drodze restytucji w roku 1994 i wtedy się tam przeprowadzili. – *W Republice Czeskiej zaczęto urzędowo załatwiać restytucje w latach 1992–93. W naszej rodzinie o zwrot majątku zaczęła się ubiegać mamusia, ja w tym czasie pracowałam jako*

konsul w Ambasadzie Czeskiej w Warszawie. Kiedy mamusia zachorowała, życzyła sobie, bym wróciła i kontynuowała sprawę restytucji. Wiedzieliśmy dokładnie, co należy do naszej rodziny, bo cały majątek, który miał przepaść na rzecz państwa, został spisany w orzeczeniu sądowym w czasie, kiedy skazano babunię – wspomina pani Danuta.

DECYZJA ZAPADŁA

Będąc w Polsce Řezničkové początkowo nie myśleli o przeprowadzce do Żukowa. Ich synowie chodzili do szkoły w Warszawie, jednak pragnęli jak najwięcej czasu spędzać ze swoją babcią w Karwinie, więc równolegle uczęszczali do czeskocieszyńskiego Gimnazjum Polskiego.

Ażeby mogli tam otrzymać maturę, w każdym półroczu musieli robić egzaminy uzupełniające. Wtedy przyjeżdżali ze swym tatą do babci do Karwiny na cały miesiąc i on codziennie woził ich do Cieszyna. – *A że mąż miał mnóstwo wolnego czasu, często odwiedzał Żuków. Oglądał posiadłość, spacerował po okolicy, a kiedy, będąc raz pod parkiem, zobaczył rozciągający się malowniczy widok Beskidów, poczuł się na tyle oczarowany, że w jego głowie zapadła decyzja o przeprowadzce do Żukowa. Zresztą mąż przyciągały góry swym urokiem od zawsze* – wspomina pani Danuta. Po powrocie do Warszawy powiedział do żony: Nie pojedziemy z powrotem do Pragi, ale do Żukowa. Miał swoją wizję, wiedział,





Brama wjazdowa, rok 2015



Posesja od południa

czego chce i konsekwentnie rozpoczął realizować swój zamysł. Był rok 1994. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że posiadłość jest wprawdzie w tragicznym stanie, ale istnieje szansa, by ją uratować i odbudować. Tereny były zniszczone, gleby zanieczyszczone ropą naftową i olejem z aut, wszędzie stare maszyny, bałagan, po prostu makabra.

– Najpierw musieliśmy do ogrodu przywieźć sto pięćdziesiąt ciężarówek z nową ziemią, żeby wszystko wyrównać i móc tam cokolwiek sadzić. Dziś już trudno w to uwierzyć – mówi pan Vladimír.

Początkowo dworek nie nadawał się do mieszkania. Jednak po każdym etapie remontu sytuacja się poprawiała i po kilku miesiącach rodzina mogła się do domu wprowadzić, chociaż warunki były jeszcze prowizoryczne. W roku 2015 stan domu był już zbliżony do obecnego, a dziś, po trzydziestu latach, jest do niepoznania. Dwór został wspaniale wyremontowany, jego

najbliższa okolica z otaczającym ogrodem i parkiem jest starannie utrzymana. Państwo Řežníčkové zniszczoną siedzibę

zamienili w przepiękny dom, z czego ich przodkowie byłoby pewnie bardzo dumni.

ZNALEŻLI NOWY DOM

Pytam pana Ládi, jak dziś, z perspektywy czasu, patrzy na to wszystko, co się stało w ostatnich latach w jego życiu. – *Zdecydowanie nietatwo było opuścić Pragę. Pozostawiłem tam wszystkich swoich przyjaciół i piękne wspomnienia młodości. Była to nietatwa decyzja szczególnie dla mnie, miłośnika historii i zabytków tego magicznego miasta oraz jego niepowtarzalnego genius loci. Co więcej, porzuciłem pracę, którą lubiłem, która przynosiła mi satysfakcję i osiągnąłem w niej sukces, zajmując stanowisko głównego specjalisty na budowie praskiego metra. Życie jednak postawiło przede mną nowe wyzwanie – po czterdziestoletnim okresie dewastacji uratować przed całkowitym zniszczeniem dom rodzinny mojej żony, dom jej ukochanej babuni Stefani Jungowej, z którą łączyły ją mocne więzi rodzinne i emocjonalne. Wzięliśmy się do dzieła i pomimo licznych napotykaných przeszkód, którym musieliśmy sprostać, chyba się udało. Teraz, po trzydziestu latach, mogę to miejsce z lekką nutą nostalgii uważać swój nowy, prawdziwy dom – wyznaje.*

A co na to pani Danuta? – *Muszę przyznać, że była to wielka odwaga i poświęcenie z naszej strony. Jednak warto było. Posiadłość wróciła do rodziny, tradycja jest kontynuowana, a wierzę, że również synowie pójdą w nasze ślady.*





DOM NA GRANICY W SZONOWIE WSPOMNIENIA TADEUSZA NOWAKA

TEKST: SYLWIA GRUDZIŃ, ZDJĘCIA: SYLWIA GRUDZIŃ. FOTOGRAFIE ARCHIWALNE ZE ZBIORÓW TADEUSZA NOWAKA

Rubryka „Pamiętka rodzinna” przywiodła naszą redakcję tym razem do Hawierzowa, gdzie mieszka pan Tadeusz Nowak. Nasz rozmówca podzielił się z nami swoimi wspomnieniami z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości. A że urodził się i wychował w domu stojącym na granicy polsko-czechosłowackiej, powstałej po zajęciu przez Polskę Zaolzia w 1938 roku, miał o czym opowiadać.

Pan Tadeusz dzieciństwo spędził w Szonowie – niewielkiej miejscowości leżącej między Hawierzowem a Ostrawą. Urodził się 19 września 1934 roku w domu swojego dziadka Józefa Prymusa i babci Joanny z domu Taraba.

– Posiadłość dziadków składała się z dwóch budynków i gospodarczego zaplecza. W pierwszym budynku znajdowały się restauracja, sklep i sala taneczna. W drugim były mieszkania dla służby. Znajdowało się tam też nasze mieszkanie składające się z dwóch pokoi i małej sieni. Za budynkiem mieszkalnym była jeszcze stodoła z gumnem i skład z narzędziami oraz szopka na drzewo i węgiel. Poza tym na podwórzu był drewniany domek z głębokim wykopem

w ziemi, który służył jako lodówka. Na placu przed domem dziadka stał również drewniany budynek, gdzie rzeźnik Jan Slíva sprzedawał mięso i wędliny. Był to wesoly pan, który nie szczędził dzieciom po kólecčku kiełbasy – wylicza mój rozmówca, odtwarzając topografię rodzinnego domostwa.

Pan Tadeusz posiłkuje się przy tym albumem ze zdjęciami i spisanyimi wspomnieniami. Wskazuje na niewielkie czarno-białe zdjęcie przedstawiające obszerny dom murowany z dwuspadowym dachem.

– Dom dziadków był duży. Tu było wejście do sali tanecznej. Po drugiej stronie był sklep i restauracja. Jakby pani chciała, to możemy się tam kiedyś wybrać, bo dom dziadków

jeszcze stoi. Jest w nim dzisiaj restauracja – proponuje pan Tadeusz.

W albumie obok zdjęcia domu są fotografie portretowe dziadków. Pytam, jacy byli dziadkowie? – Dziadek był dobrym gospodarzem i ojcem, ale dzieci prowadził ostro. Dla ludzi w sklepie i gospodzie był przyjazny i życzliwy. Jak mówiła moja mama – był w stanie nawet w nocy nalać wódki dla klienta. Dawał również „na zeszyt”. Babcia kierowała służbą i gotowała dla całej rodziny. Obiady jedliśmy wspólnie z dziadkami. Dziadkowie, oprócz mojej mamy, mieli jeszcze pięciu synów i dwie córki. Dwóch synów zmarło – zaczadzili się od pieców w swoim pokoju. Dziadkowie wychowali jeszcze dwie córki po zmarłej siostrze dziadka – mówi pan Tadeusz.



Przed domem dziadków stał drewniany budynek, w którym swoje wyroby sprzedawał rzeźnik Slíva

◀ Dziadkowie Tadeusza Nowaka – Joanna i Józef Prymusowie – ze swoimi dziećmi przed domem w Szonowie, lata 20. XX w.

WÓDKA Z WYTWÓRNI HERMANNA LÖWA W MISTKU

Mama pana Tadeusza pomagała dziadkowi w prowadzeniu restauracji i sklepu. – *Moja mama miała na imię Wiktoria. Urodziła się 14 kwietnia 1907 roku w Szonowie. Pracowała w sklepie i gospodzie ojca. Była bardzo wesoła i lubiana przez ludzi. Gdy dziadek był już stary, moja mama, choć miała tylko wykształcenie podstawowe, robiła mu całą buchalterię sklepu i restauracji. We Frydku była wytwórnia likierów, którą prowadził Żyd Löw. Wytwórnia przywoziła alkohol do restauracji dziadka, a mama potem szła piechotą z butą pieniędzy za ten alkohol zapłacić. Nie bała się iść sama taki*

kawał drogi. Autobusy wtedy nie jeździły. Bryczki dziadkowie nie mieli. Potem, gdy mama miała wesele, to od tego Löwa dostała do dyspozycji samochód sześciokołowy na całe wesele. I do tego dwie skrzynki „gorzoły”. Nawet mam dwie flaszki, które zostały z wesela mamy. Jedna to griotka, a druga „kminkula”. Ja pani pokażę te flaszki, może je znajdzie.

Pan Tadeusz znika na chwilę w innym pokoju i za chwilę przynosi przezroczystrą butelkę z cześciowo zdartą etykietą, na której można przeczytać, że butelka została wyprodukowana w wytwórni likierów Hermanna Löwa w Mistku. Butelka jest oryginalnie zaplombowana pieczęcią lakową. W środku znajduje się brązowy trunek. – *Jak ją jakiś baran dostanie kiedyś do ręki, to ją otworzy i „wychlaszcze”* – śmieje się pan Tadeusz.

Oprócz wódki do restauracji dowożono również beczki z piwem, które z innymi napojami były chłodzone latem w lodowni. Był to dół, do którego zimą spuszczano bryły lodu z okolicznych stawów. Lodownia chłodziła przez całe lato, aż do następnej zimy.

Po ślubie rodzice pana Tadeusza zamieszkali u dziadków. – *Mama od kolebki, jak tylko miała czas, śpiewała i opowiadała różne wierszyki i przygody z życia i gospody. Nauczyła mnie piosenek ludowych, które są śpiewane do dziś. Śpiewaliśmy też z mamą kolędy i pieśni kościelne. Cała rodzina była ewangelicka. Wśród pieśni były również pieśni patriotyczne, na przykład „Rota”* – wspomina mój rozmówca.

– *W tych czasach dużą rolę odgrywały mamy. Te były po prostu patriotkami. Dopóki te mamy żyły, to był rygor narodowościowy – pilnowały mowy i kultury. Dużo było tych matek Polek. Nie mówię, że wszystkie, ale te, co znałem, takie były. Jako dziecko byłem z tego niezadowolony, że tego rygoru było za dużo. Kto wie, jaki by ze mnie byczek wyrósł, gdyby nie mama – zastanawia się mój rozmówca.*

BEZTROSKE DZIECIŃSTWO

Pan Tadeusz był jedynakiem. Ale nie narzekał na brak towarzystwa do zabawy. W Szonowie miał mnóstwo kolegów i koleżanek w podobnym wieku. Byli oni przeważnie czeskiej narodowości, ale to w niczym nie przeszkadzało, bo wszyscy w tym czasie mówili śląskim narzeczem. – *Graliśmy w piłkę nożną szmacianą piłką wypchaną trocinami. W stodołach skakaliśmy na sianie lub słomie. Często tam natrafialiśmy na gniazda z jajkami zniesionymi przez*



Babcia Joanna Prymus z domu Taraba



Dziadek Józef Prymus, właściciel restauracji i sklepu spożywczego w Szonowie



Zdjęcie ślubne Wiktorii i Eduarda Nowaków, 1932 r.

kury. Gospodynie o tym nie wiedziały, więc wypijaliśmy te jajka. Latem jeździliśmy po rzeczce Datyńce na tak zwanym „wasztroku” – długim korytku do płukania prania. Woda w rzeczce była wtedy bardzo czysta, więc tapaliśmy ryby do kosza uplecionego z zielonych gałązek – wspomina swoje dziecięce lata pan Tadeusz.

W pamięci mojego rozmówcy zachowali się również sąsiedzi Kempni, od których rodzina Prymusów nosiła wodę. – *Byli to wspaniali sąsiedzi, chociaż Czesi i silni katolicy. Mieli koło domu zasadzone cztery lipy, a w środku, pomiędzy nimi, stał duży drew-*



Rodzina mamy. Po lewej brat Franek z pieskiem na rękach. Obok siostra Zosia z córką Janką. W tyle mama Wiktorcia. Z przodu Tadeusz Nowak.

niany krzyż. Bardzo często u nich przebywałem, bo oni mieli już starsze dzieci. Córka Śtefka była dla mnie jak druga mama – była to dobra i wspaniała dziewczyna. Moja mama, pracując od rana do nocy, nie miała dla mnie dużo czasu. Mój tata z kolei pracował jako górnik w Pietwałdzie.

DOM NA GRANICY

Umówiliśmy się z panem Tadeuszem na następny piątek, że pojedziemy zobaczyć, jak wygląda dzisiaj budynek, który kiedyś należał do jego dziadków. Na miejscu cze-



Mały Tadzio.

kał już na nas krewny pana Tadeusza – Bronisław Prymus – który do dzisiaj mieszka w Szonowie. Zaparkowaliśmy pod podłużnym, niskim budynkiem pomalowanym na ciemną zieleń. Budynek w niczym nie przypomina dzisiaj tego ze zdjęcia w albumie pana Tadeusza. Dom wygląda tak, jakby był wybudowany w latach 90. XX wieku. Jedyne ozdobny gzyms, biegnący wzdłuż najdłuższej ściany, zdradza, że budynek może być starszy.

Koło domu dziadków Prymusów przebiegała granica, która powstała po zajęciu przez Polskę Zaolzia w październiku 1938 roku.

▼ Mama Wiktorcia Prymus (trzecia z prawej w drugim rzędzie) na kursie szycia w 1928 roku.



Singeriur
bezpłatny kurs
v Šenově ve Slezsku
od 13/2. 1928 do 25/2.



Pierwsza klasa wydziałowa w Błędowicach Dolnych tuż po wojnie, 1945/1946. Nauka z braku miejsca odbywała się w suterrenach czeskiej szkoły. Tadeusz Nowak – drugi od lewej w drugim rzędzie.

Dom dziadków Prymusów był ostatnim domem w Polsce. Za granicą była już Czechosłowacja. – Tam szła droga na Datynie, a tu przebiegała granica aż do Bogumina. Obok domu stała budka wartownika, a koto niej był szlaban – wskazuje pan Tadeusz – Na tej granicy kończył się obszar zamieszkiwany przez Polaków. Po polskiej stronie mieszkali Fikockowie, Molinkowie, Koczkowie, Wieczor-

kowe, Labudkowie. A dalej byli niby Czesi. Ciężko powiedzieć, kim oni byli. Bo nazywali się Wicherkowie, a czuli się Czechami. Nazwiska zostały, ale narodowość zmienili.

Pytam pana Tadeusza, jak w praktyce wyglądało życie na granicy?

– Tę granicę można było przekraczać swobodnie, trzeba było tylko poinformować

strażnika, że jedzie się kopać ziemniaki, albo idzie się do pracy, do sąsiada, do chorego, do mamy, do brata. Za wojny przechodziliśmy normalnie przez granicę, nikt jej nie kontrolował. My znajdowaliśmy się w III Rzeszy, a za granicą był Protektorat Czech i Moraw. Ja chodziłem do szkoły niemieckiej, do Datyń, które już były w III Rzeszy. W protektoracie była szkoła czeska.

▼ III klasa Polskiego Gimnazjum Realnego w Orłowej, rok szkolny 1952/1953. Tadeusz Nowak pierwszy z lewej w drugim rzędzie. W środku w pierwszym rzędzie dyrektor szkoły Alojzy Drózd, obok profesor Józef Niemiec – wychowawca klasy.



JAK DWÓCH TADZIÓW STRZEGŁO GRANIC...

Z domem dziadków w czasie, gdy koło niego przebiegała granica polsko-czechosłowacka wiąże się zabawne wspomnienie. – *Gdy powstała granica, miałem pięć lat. W budce służył między innymi pewien żołnierz, niejaki Tadek, który pochodził ze Wschodu. Pewnego dnia ten Tadek miał służbę. A że zaraz obok była gospoda mojego dziadku, to mówi do mnie: „Tadziu, ty jesteś Tadziu, ja też jestem Tadziu, tu masz czapkę – nasadził mi ją aż na uszy – i będziesz strzegł granicy. Ale pamiętaj, że nikogo nie możesz przepuścić”. Więc stanąłem, a on sam poszedł do gospody. Trzeba nadmienić, że niektórzy gospodarze z Szonowa mieli jedną część pola po polskiej stronie, a drugą po czeskiej. Więc wtedy, gdy ja „strzegłem” granicy, jechała akurat jedna pani z tragicznym i kopaczkami do roboty – była to mama mojego kolegi, ja ją dobrze znałem – i mówię: „Stoć. Nie puścimy”. Jaka była na mnie zła! Ale nie przesza – śmieje się pan Tadeusz.*

– *Po pewnym czasie przyszedł komendant i mówi: „Tadziu. – mnie tam wszyscy znali, bo się tam szwendąłem całymi dniami – Ty tu strzeżesz? No bardzo ładnie. A gdzie jest drugi Tadziu?”. Powiedziałem mu, że w gospodzie. Co potem było, to nie wiem. W każdym razie po tym Tadziu została jedna dziewczynka. Bo ci gospodarze, u których on mieszkał, mieli córkę, i tak mu się udało, że został po nim potomek. Żołnierze służący na granicy nie mieli zaplecza, więc mieszkali w okolicznych domach.*

Pytam mojego rozmówcę, czy pamięta coś z czasów wojny. Z tego względu, że był kilkulatek, nie przypomina sobie zbyt wiele. Pamięta jednak, jak stał z dziadkiem w drzwiach wejściowych, i patrzył, jak maszeruje niemieckie wojsko, idące od Szonowa w kierunku Błędowic. Postój na obiad z kuchni polowej żołnierze mieli na placu przed ich domem.

W czasie wojny rodzina pana Tadeusza odwiedzała również ciocię w Wiśle – siostrę mamy. – *Mąż siostry mamy był w polskim wojsku w Anglii i przysyłał do domu paczki, w których była też czekolada w grubych blokach. Pamiętam, że zawsze dostawałem kawałek czekolady, taki na pół paznokcia, i byłem w siódmym niebie! Człowiek nie wiedział, co to jest. Mama mnie ciągnęła do tej cioci w każdą niedzielę. Z dworca kolejowego w Wiśle szliśmy do Malinki. To był*



Pan Tadeusz Nowak na tle obrazu Oskara Pawlusa przedstawiającego gimnazjum w Orłowej.

kawał drogi. Do śmierci tego nie zapomnę – śmieje się pan Tadeusz – Jak przyjechaliśmy, to schodzili się jeszcze sąsiedzi. Wszyscy posiadali i opowiadało się. Tak się żyło. Ludzie się odwiedzali, rozmawiali ze sobą. Kiedyś nie było telewizji, ani radia. Ludzie mieli więcej czasu.

TRUDNE CZASY POWOJENNE

Wracamy z panem Tadeuszem do jego domu i siadamy jeszcze na chwilę, bo tematów do rozmowy nie brakuje. Po II wojnie światowej zaczęły się trudne czasy odbudowy dawnego życia, w tym polskiego szkolnictwa. Rok po wojnie Nowakowie przeprowadzili się z domu dziadków do swojego domu w Błędowicach. Tam właśnie pan Tadeusz rozpoczął swoją edukację w polskiej szkole wydziałowej. Lekcje odbywały się w suterrenach czeskiej szkoły – w dawnej polskiej szkole w czasie wojny znajdował się niemiecki urząd obwodowy i budynek wymagał remontu. – *Po wojnie dzieci było jak much. Bo do szkoły przyszły nie tylko aktualne roczniki, ale też te wojenne, które chodziły do szkoły niemieckiej. Wszystko było przepetnione. Najpierw więc chodziłem do pierwszej klasy szkoły wydziałowej, a potem znowu do szkoły ludowej, bo zlikwidowali wydziałówkę. W trzecim roku z tego względu, że ciągle szkoła w Błędowicach nie była gotowa, zacząłem chodzić do szkoły wydziałowej w Suchej Górnej, ale niestety o rok niżej. Tym sposobem zacząłem chodzić do klasy z rocznikiem 35., choć sam urodziłem się w 1934 roku.*

W pierwszych latach powojennych brakowało również nauczycieli. – *Dyrektorem szkoły w Błędowicach był niejaki pan Toman, który wrócił z obozu koncentracyjnego. Miał duże problemy zdrowotne. Przeżył, ale jak wyglądał... Był zmęczony, wyniszczony kompletnie, a tu trzeba było odbudowywać szkolnictwo. Wielu tych nauczycieli zginęło. Bo za wojny każdy, kto był Polakiem, miał tutaj problemy. Ja wiem to po moim ojcu. Mój ojciec pracował jako górnik w Pietwałdzie, również w czasie wojny. Był Polakiem, więc nie mogli go wziąć na wojnę, ale niszczyli go psychicznie. Tacy ludzie jak mój tata musieli chodzić oglądać egzekucje, które tu były. Dostał rozkaz, że ma iść w określone miejsce i patrzeć na to, jak rozstrzelują albo wieszają Polaków. Tata nie podpisał volkslisty, został Polakiem do końca. Jak skończyła się wojna, wydostał się z tego górnictwa i potem pracował przy kolei.*

Po skończeniu szkoły w Suchej pan Tadeusz rozpoczął naukę w słynnym Polskim Gimnazjum Realnym w Orłowej. Przechodzimy do pokoju obok, żeby zobaczyć obraz przedstawiający budynek gimnazjum od strony ogrodu, namalowany przez znanego zaolziańskiego artystę Oskara Pawlusa. – *Wie pani, dlaczego ja chcę o tym opowiedzieć? Bo to jest zapomniana klasa. Zdałem maturę w 1953 roku kiedy była reorganizacja szkolnictwa w Czechosłowacji. Gimnazjum przekształcano wtedy w jedena-stolatkę. My wtedy chodziliśmy do trzeciej klasy gimnazjum, a czwartej już nie było. Przez tę reformę musieliśmy czwartą klasę robić przez wakacje, a potem zdawaliśmy maturę pod koniec wakacji. Jak to się mó-*



Tadeusz Nowak z Bronisławem Prymusem przed budynkiem, w którym przed wojną znajdowała się restauracja, sala balowa i sklep spożywczy Józefa Prymusa.

wi: „drziliśmy jak kónie, ale było wesoło”. W 1953 roku w całej republice wyszły więc dwa roczniki z gimnazjum, więc tych absolwentów było raz tyle. Ci lepsi się dostali na studia, ci gorsi nie, bo nie było miejsca. Ja zacząłem pracę na kolei.

Klasa mojego rozmówcy była wyjątkowa. Uczyły się w niej takie osoby, jak Stanisław Kondziołka, który później był redaktorem naczelnym „Głosu Ludu” i prezesem Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, Wiesław Maroszczyk, późniejszy ligowy szachista czy Janusz Gaudyn, lekarz i zaolziański poeta. Wychowawcą klasy był Józef Niemiec,

dyrektorem szkoły Alojzy Drózd. Pan Tadeusz pokazuje mi zdjęcia i pamiątki z kolejnych zjazdów klasowych organizowanych z okazji rocznic ukończenia szkoły. Mój rozmówca śpiewa specjalnie dla mnie fragment jazzowej wersji hymnu klasowego napisanego przez Janusza Gaudyna lub Wiesława Maroszczyka:

*Że studenci my z Orłowej,
Wszyscy wnet zgadniecie.
Świadczą o tym nasze głowy,
książki i rupiecie.
Mądrość nasza wszędzie sływie,
Od Karwiny po Lutynię.*

*Lecz z miną wždy wesołą,
Jak w szkole, tak poza szkołą.
Mile spędzamy czas.
I nic nie zraża nas!*

Pan Tadeusz mówi na koniec. – *Chcę, żeby pani o tym napisała, żeby się chociaż kawaleczek z tego, co pamiętam, zachowało. Młodzi się tym nie interesują, dopiero potem, aż człowiek dojrzeje, zaczyna się tym interesować, ale potem jest już za późno. Moja mama też mi zawsze mówiła, chodź ci poopowiadam, jak to było z dziadkami, a ja nie miałem nigdy czasu. A teraz już nie ma się kogo spytać...*



Po drugiej stronie drogi, po zajęciu Zaolzia przez Polskę, była już Czechosłowacja.

KLEMENS SŁOWIOCZEK. WYBITNY BARYTONISTA ZE STONAWY

TEKST: MAGDA WALACH / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK, ARCH. REDAKCJI

Wnocy z 4 na 5 września w wieku 77 lat zmarł Klemens Słowioczek, wybitny barytonista ze Stonawy, solista Opery Komicznej w Berlinie.

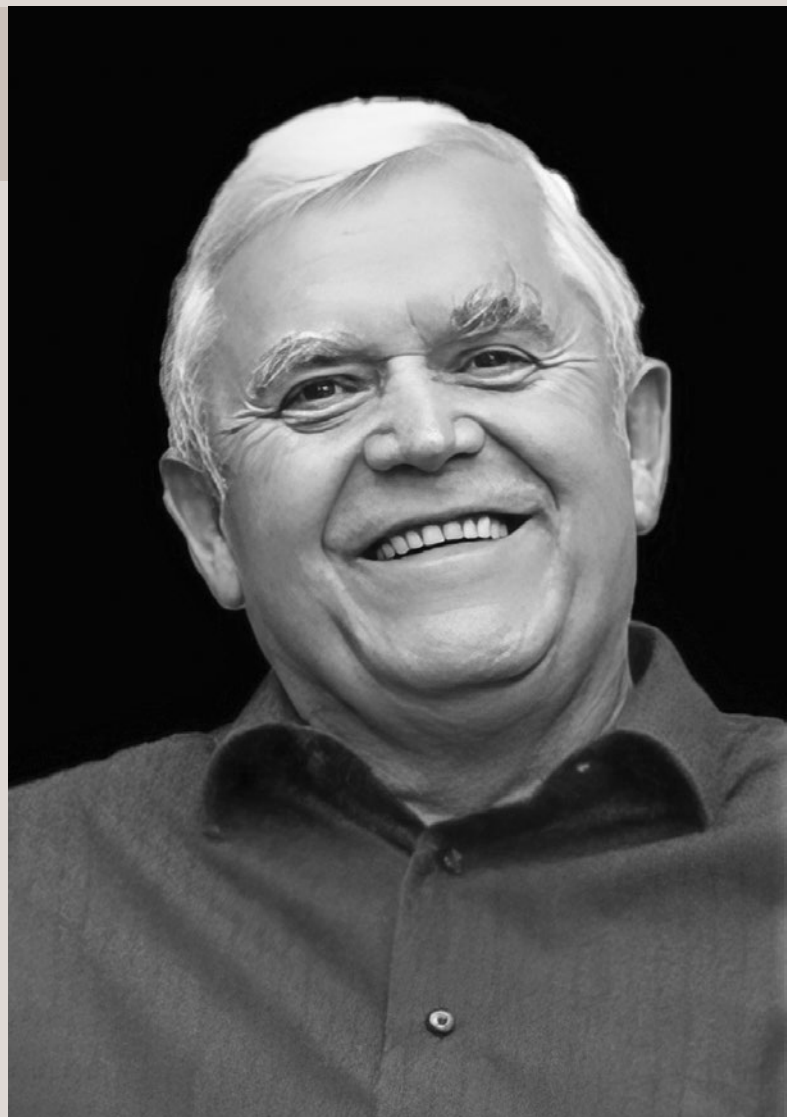
Klemens Słowioczek urodził się 27 listopada 1945 roku w Stonawie. Uczęszczał do polskiej szkoły podstawowej w Stonawie, a następnie do Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. – *To były najpiękniejsze lata życia. Byliśmy ostatnim rocznikiem, który maturę zdawał jeszcze w budynku gimnazjum w Orłowej na Obrokach. Działo się to w 1962 r., naszym wychowawcą był Oswald Siwek – wspominał Klemens Słowioczek w wywiadzie dla naszego miesięcznika w 2012 roku.*

Studia kontynuował w konserwatorium w Ostrawie, później na Akademii Muzycznej im. Leoša Janáčka w Brnie. – *Oddałem zgłoszenie do szkoły leśnej i do konserwatorium. Ale wcześniej był egzamin do konserwatorium. Zagrałem na skrzypcach, a potem miałem egzamin do intonacji. I to był początek mojej kariery. Zasiadłem do fortepianu i zaśpiewałem: „Idę sobie przez podwórze i pyk, pyk, fajeczkę kurzę”. I wtedy jeden z egzaminatorów dr Ivan Měrka – wiolonczelista, który także śpiewał – zabrał mnie piętro wyżej przed komisję śpiewaczą. Zaśpiewałem raz jeszcze i namówiono mnie, żebym oprócz skrzypiec zajął się też nauką śpiewu – opisywał początki kariery Klemens Słowioczek. Po dwu latach zrezygnował ze skrzypiec, w pełni poświęcił się nauce śpiewu.*

OPERA KOMICZNA W BERLINIE

Klemens Słowioczek już w czasie studiów w konserwatorium występował na deskach Narodowego Teatru Morawsko-Śląskiego w Ostrawie, gdzie działał od 1971 do 1974 roku. Tam ustąpił go Walter Felsenstein z Opery Komicznej (Komische Oper) w Berlinie i zaproponował mu angaż. Klemens Słowioczek propozycję angażu w operze przyjął i od 1974 z placówką tą związał trzydzieści lat swojej pracy artystycznej. – *Moja pierwsza rola to było znowu „Wesele Figara”, którego tym razem musiałem nauczyć się po niemiecku. Bo w Operze Komicznej śpiewało się po niemiecku – Felsenstein chciał, żeby ludzie rozumieli, o czym śpiewa się w teatrze – tak swoje początki w Operze Komicznej wspominał Klemens Słowioczek w wywiadzie dla „Zwrotu”.*

W ciągu tych lat odegrał 56 ról. Występował gościnnie w Moskwie, Warszawie, Wiedniu, Londynie, Tokio, Melbourne i Tel Awiwie. Jednak jeszcze przed wyjazdem do Berlina na rok zawiązał do Wojaskowego Zespołu Artystycznego (Armádní umělecký soubor Víta Nejedlého) w Pradze.



NAUCZYCIEL ŚPIEWU

Po latach pracy w Berlinie w 2005 roku Klemens Słowioczek powrócił do Czech – do rodzinnej Stonawy. Wrócił również na Uniwersytet Ostrawski, gdzie działał przede wszystkim jako nauczyciel śpiewu. Na swoich lekcjach przekazywał doświadczenie zdobyte u swojego nauczyciela Jiřígo Herolda i stosował tzw. włoską metodę śpiewu operowego. – *To bardzo duża odpowiedzialność. Jeżeli kogoś uczę, to formuję całe jego przyszłe życie, żeby z niego coś wyrosło. I sam muszę coś umieć, żeby mu to przekazać. Sam miałem szczęście, że mój profesor był też solistą, fantastycznym aktorem i śpiewakiem. Miałem kilku bardzo dobrych studentów,*



sądzę, że czterech, pięciu takich studentów w ciągu pięciu lat to dobra przeciętna. – wyjaśniał na łamach „Zwrotu”.

Gościnnie występował również w Narodowym Teatrze Morawsko-Śląskim w Ostrawie.

Za zasługi artystyczne otrzymał zawodowy tytuł Kammersänger – niemiecki oraz austriacki tytuł honorowy przyznawany wybitnym i zasłużonym śpiewakom operowym od ponad stu lat.

SOLISTA ZESPOŁU TA GRUPA

Na Zaolziu związał się m.in. z zespołem TA Grupa, działającym przy Miejscowym Kole PZKO Czeski Cieszyn-Osiedle.

– Pan Klemens Słowiczek na emeryturę zdecydował się powrócić w swoje strony rodzinne do Stonawy. Wracając tutaj, w roku 2011 zaczął działać w Narodowym Teatrze w Ostrawie. Państwo Wantulocy, którzy są członkami zespołu TA Grupa i znali się z Klemensem, zostali zaproszeni na premierę „Polskiej Krwi” do teatru w Ostrawie, gdzie śpiewał rolę Zaremby. Zaprosili również mnie. Słuchając pana Klemensa, po prostu zakochałam się w jego głosie. Zresztą takich osób na pewno jest wiele nie tylko tutaj na Zaolziu, ale również w Berlinie. Zdecydowałam się podejść do niego po przedstawieniu. Zapytałam, czy nie chciałby wesprzeć działalności naszego kameralnego zespołu. Ku mojemu zaskoczeniu zgodził się i od 2012 roku współpracował i śpiewał z nami. Uświetniał nasze wstępy swoim solowym śpiewem. Wspomagał również męskie głosy, co dla niego też było trudne, ponieważ on – głos barytonowy – wspomagał tenory. Później również uczył nas techniki śpiewania – powiedziała Danuta Siderek, kierownik organizacyjny zespołu TA Grupa.

– To, że wrócił tutaj na to Zaolzie, było dla nas bardzo miłe. Wiem, że finansowo wspierał także kościół katolicki Marii Magdaleny w Stonawie, kiedy odnawiano tutejsze organy. Współpracował

z chórem „Permonik”. Długie lata był również jednym z organizatorów „Stonawskiej Barbórki”, zasiadał także w jury. To był bardzo fajny konkurs, mieliśmy tam również okazję występować jako goście – stwierdziła Danuta Siderek.

– W marcu w 2023 roku występował z nami jeszcze w Domu Seniora w Czeskim Cieszynie. Oczywiście zawsze się wszystkim bardzo podobał, on był magnesem. Kiedy już troszeczkę chorował, z całą TA Grupą pojechaliliśmy odwiedzić go do Stonawy. Teraz spotykamy się z Helą jego przyjaciółką, która w jego ostatnich chwilach opiekowała się nim 24 godzin na dobę i była takim jego aniołem – dodała Danuta Siderek.

– Nie zapomnimy nigdy jego „Pyk, pyk z fajeczki”, nie zapomnimy „Kozaka” Moniuszki czy arie Anotniina Dvořáka. Po prostu pozostaną w naszych sercach i myślach na zawsze. Będzie nam go wszystkim brakowało. Wierzymy jednak w to, że tam na górze śpiewa już innym i uświetnia im anielskie życie – zakończyła kierowniczka zespołu.



IMITACJE KSIĘŻNICZKI CZYLI ILE W CALDERONIE CALDERONA

TEKST: CZESŁAWA RUDNIK / ZDJĘCIA: KARIN DZIADEK

Pierwszym spektaklem, który w nowym sezonie 2023/2024 obejrżeli widzowie Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszyńcu, była komedia wybitnego siedemnastowiecznego dramaturga hiszpańskiego Calderona de la Barki *Księżniczka na opak wywrócona*. Premiera odbyła się jeszcze przed wakacjami.

Don Pedro Calderón de la Barca Henao de la Barreta y Riaño (1600–1681, Madryt) pochodził ze zubożałej szlachty kastylijskiej. Studiował prawo, był żołnierzem, zajmował się teatrem, przyjął święcenia kapłańskie, został kapelanem królewskim. Pisarstwo uprawiał przez całe życie.

Uznany za następcę Lope de Vegi – znawcy przedmiotu różnił się w osądach, który z nich był zdolniejszy – od początku swej kariery dramaturga chwalony był przez swego poprzednika. Jest autorem około dwustu sztuk teatralnych i mniejszych utworów o różnorodnej tematyce, adresowanych przede wszystkim do widzów z kręgów arystokratycznych, ale docierających też do innych warstw społecznych.

Ważne miejsce w jego twórczości zajmuje tematyka religijna, utwory często nawiązywały do uroczystości kościelnych. Nie raz zawierały elementy filozoficzne, które wpłatał także w dramaty o tematyce świeckiej. Jest autorem sztuk historycznych i obyczajowych. Pełne humoru są jego komedie romantyczne, nas interesuje najbardziej *Księżniczka na opak wywrócona* z gatunku „opończy i szpady”.

SZTUKI CALDERONA W POLSCE

Sztuki Calderona także w Polsce cieszyły i cieszą się powodzeniem. *Alkada z Zalamei* wystawiono w Poznaniu już w 1782 roku. Była to adaptacja na podstawie niemieckiego przekładu i nosiła tytuł *Burmistrz z Poznania*. W 1889 roku w Krakowie sztukę zagrano w przekładzie Edwarda Porębowicza, w XX wieku przetłumaczył ją Ludwik Hieronim Morstin.

Tłumaczy dramatów Calderona na język polski było niemało. Najśłynniejszy jest zapewne poetycki przekład *Księcia niezłomnego* Juliusza Słowackiego, który ukazał się



drukami w 1844 roku, na scenie zagrano go w 1874 roku w Krakowie, rok później we Lwowie. Najgłośniejszy spektakl w XX wieku to praca Jerzego Grotowskiego.

Akcja najwybitniejszego dramatu Calderona *Życie jest snem* przenosi widza do Polski. Kraina z dramatu jednak nijak ma się do rzeczywistości. Sztukę po raz pierwszy pokazano w Polsce w 1826 roku we Lwowie, również wykorzystując przeróbkę niemieckiej wersji. Polskiego przekładu całości oryginału dokonał Józef Szujski.

IMITACJA MARKA RYMKIEWICZA

Nowa imitacja dramatu *Życie jest snem*, podobnie jak *Księżniczki na opak wywróconej*, dzieło Jarostawa Marka Rymkiewicza, zmarłego w ubiegłym roku poety, eseisty, tłumacza. Terminu imitacja użył sam Rymkiewicz. I wyjaśnił, że nie chodzi tylko o naśladowanie, ale o „próby ponownego skonstruowania tekstu z elementów niegdyś już użytych”.

Na warsztat wziął drugą wersję komedii – Calderon napisał bowiem dwie – pod tytułem *Pani i służąca*, ale wykorzystał także

propozycje z pierwszej wersji *Przypadek i błąd*. Inspiracją były mu też inne dzieła, inni pisarze czy filozofowie, dodał nawet coś od siebie, no i jest autorem tytułu.

Co powiedziałyby na te imitacje Calderona? Zachował się list z 1680 roku, w którym zżymał się na „księgarzy i drukarzy”, którzy wydawali jego dzieła jeszcze „niewygładzone” bez zezwolenia, z błędami czy z własnymi poprawkami. A niekiedy obce utwory podpisali nazwiskiem Calderona.

Sam jednak również korzystał z tekstów, a nawet tytułów sztuk, innych autorów, przerabiał je, nie oszczędzając samego Lope de Vegi. Wiele dramatów pisał na zamówienie, co pewnie wtedy usprawiedliwiłoby ingerencję nabywców w pierwotny tekst.

Natomiast imitacje Jarostawa Marka Rymkiewicza, pochodzące z końca lat 60. ubiegłego wieku, sprawiły, że współczesnemu widzowi zaserwowano smakowite igraszki miłosne autorstwa Calderona wzbogacone o pyszne igraszki słowne imitatora. Warto przypomnieć, że *Księżniczka na opak wywrócona* grana już była w Czeskim Cieszyńcu, przedstawienie w 1980 roku reżyserował Witold Rybiński.

KSIĘŻNICZKA NA OPAK WYWRÓCONA W REŻYSERII JULII MARK

Tegoroczną premierę przygotowała reżyserka Julia Mark, pracująca w różnych teatrach w całej Polsce, jak również w Teatrze Polskiego Radia. Była to jej pierwsza współpraca ze Sceną Polską Teatru Cieszyńskiego. W zamieszczonym w programie do przedstawienia wywiadzie oceniła zespół jako otwarty i kreatywny.

Księżniczka na opak wywrócona zawiera w sobie zdaniem Julii Mark pozytywne cechy komedii dell'arte. To charakterystyczne postacie, wartki bieg akcji, odpowiedni humor. A imitator Rymkiewicz, wykorzystując inny temat hiszpańskiego dramaturga, dodał jej znamiona „życia snem”.

Przyglądając się tej jakże współczesnej recepcji Calderona, można pokusić się także o porównanie z farsami naszych czasów, w których precyzyjne dialogi w ustach zabawnych postaci i komizm sytuacyjny składają się na pełną nieporozumień opowieść o życiu niekoniecznie całkiem realnym, ale wprawiającym widza w radosny nastrój.

W przedstawieniu Sceny Polskiej komedia omyłek podana została w poetyckiej oprawie. I okazało się, że tak można, że pozornie niedające się pogodzić konwencje wcale się nie kłócą. Osoby dramatu w *Księżniczce na opak wywróconej* mogą chwilami nie mieć pewności, kim są, czy to, co przeżywają, to sen czy jawa, ale widz orientuje się dobrze, jak jest naprawdę. Komunikat, przekaz ze sceny jest jednoznaczny.

DOPRACOWANY W NAJMNIEJSZYCH SZCZEGÓŁACH RUCH SCENICZNY

Problem może mieć odbiorca tylko przez chwilę, kiedy próbuje rozpoznać, kogo nogi wystają ze studni. Jednym z atutów przedstawienia jest ruch sceniczny, zaskakujący niekiedy, dopracowany w najmniejszych szczegółach. Sumienne przygotowania choreograficzne dały świetne efekty. Spektakl ma bardzo dobre tempo, pomysły rozwiązania kompozycyjne, gdzie każdy ruch i gest zdają się mieć swoje uzasadnienie.

Wszystko to dzieje się w jednobarwnej szarawej dekoracji, która w odpowiednim momencie potrafi dzięki grze świateł zmienić kolor na bardziej konkretny. Mamy tu stoliki kawiarniane, ale i długi stół, przy którym zagniata się ciasto na pizzę, na środku sceny studnię. Scenografia i kostiumy są dziełem Katarzyny Sobolewskiej, o wideo i oświetlenie zatroszczył się Tomasz Schaefer.

Ważnym elementem dekoracji jest kolumnada. Jej górną, połączoną część tworzą półkoliste ekrany, na których wyświetlane są sfilmowane wcześniej sceny czy podkreślone w taki właśnie wyrazisty sposób zachodzące tu i teraz zdarzenia. Jedną z bardzo pomysłowych jest scena jazdy na skuterze z lat 60. ubiegłego wieku, poznajemy, że po Wenecji, ale tej Cieszyńskiej.

Czas i miejsca są więc umowne, zamiast dawnej szpady używane są całkiem nowoczesne pistolety, a wiele znaków, sam tekst zresztą też, świadczy o tym, że rzecz

dzieje się w klimatach włoskich. Kostiumy też nawiązują do naszych czasów, czy to garnitury, koszulki marynarskie, krótkie spodenki lub ponadczasowe sukienki. Współczesne motywy ułatwiają odbiór dzieła scenicznego, ale przede wszystkim udowadniają uniwersalność zawartych w nim myśli.

AKTORZY NIE ZAWIEDLI

Na wstępie przedstawienia, podobnie jak podczas seansów filmowych czy programów telewizyjnych, odbywa się na wspomnianych ekranach zainscenizowana w zaciekawiający widza sposób prezentacja aktorów, których za chwilę zobaczy na żywo, i postaci, w które się wcielają. Bo to przecież oni, aktorzy, są filarami całego przedsięwzięcia.

A aktorzy w tym spektaklu nie zawiedli. Sprawiają wrażenie, że taka praca nie męczy, że granie daje im taką samą satysfakcję, jak widzom oglądanie rezultatów tej pracy. Że dobrze czują się w swoich rolach. Wszyscy zostają zapamiętani, nawet ci, którzy tylko kilkakrotnie wyszli na scenę, jak Karol Suszka (ogrodnik Fabio), Dariusz Waraksa (Fisberto, książę mediołański), Zbyszek Radek (Książę Parmy).

Pochwalić można także grających służących głównych bohaterów Joannę Gruszkę (Flora/Laura) i Marcina Kaletę (Lisardo) oraz samych kochanków z książęcych rodów Barbarę Szotek-Stonawski (Diana) i Grzegorza Widerę (Roberto), który notabene obchodził jubileusz trzydziestolecia pracy artystycznej.

By mogło w spektaklu zaistnieć *qui pro quo*, potrzebna jest jeszcze druga para. Małżeństwo grają Katarzyna Kluz, której pomysłowa, tryskająca energią Gileta najczęściej namiesza w akcji i też najwyższej punktuje u widza, oraz Kamil Mularz jako nie do końca pojmujący zachodzące w jego życiu rodzinnym zdarzenia Perote.

Pedro Calderon de la Barca *Księżniczka na opak wywrócona*. Imitacja Jarosław Marek Rymkiewicz, reżyseria i wybór muzyki Julia Mark, scenografia i kostiumy Katarzyna Sobolewska, wideo i oświetlenie Tomasz Schaefer. Premiera: Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, 24 czerwca 2023.





NA ROWERZE TAM, GDZIE BIJĄ CIESZYŃSKIE SERCA

TEKST I ZDJĘCIA: ZBIGNIEW PAWLIK

Do organizacji tej wyprawy zainspirował nas artykuł, który ukazał się w październiku ubiegłego roku w *Wiadomościach Ratuszowych*. Z wywiadu, jaki autorka przeprowadziła z grupą członków Cieszyńskiego Towarzystwa Fotograficznego, wynikało, że eksplorowali okolice Rymanowa, gdzie u podnóża w Beskidu Niskiego istnieje kilka wiosek, w których powszechnie słychać cieszyńską gwara.

SKĄD SIĘ TAM WZIĘLI NASI KRAJANIE?

Bardzo chcieliśmy poznać odpowiedź na to pytanie, spotkać się i dowiedzieć jak się im życie ułożyło. Jako że prawie nie dysponowaliśmy konkretnymi adresami, zdaliśmy się w tej kwestii na zrządzenie losu. Natomiast dzięki naszym kontaktom z Polskim Związkiem Kulturalno-Oświatowym w bagażu znalazło się nieco zaolziańskiej prasy i wydawnictw, które zamierzaliśmy przekazać tym lokalnym społecznościom.

Wyprawa miała miejsce w dniach 22–29 lipca br. i wzięło w niej udział 12 członków Turystycznego Klubu Kolarskiego PTTK *Ondraszek* z Cieszyna. Naszą bazą do rowerowej eksploracji terenu było gospodarstwo agroturystyczne we wsi Głębokie nieopodal Rymanowa.

Ku naszemu zaskoczeniu podczas pierwszej rowerowej wycieczki, której celem

była Wola Piotrowa, już nas rozpoznano. Otóż podczas krótkiego postoju w miejscowości Nowotaniec sympatyczny pan, widząc koszulki z klubowym logo, podszedł do nas i zagadnął czy jesteśmy z Cieszyna.

Na nasze potwierdzenie odpowiedział, że jego teściowa pochodzi z cieszyńskiego i mieszkają w nieodległej wsi Wistoczek. Bardzo się z tego ucieszyliśmy, i umówiliśmy się na spotkanie.





o ile się nie spaliły, to zostały rozgrabione i rozebrane. Nowe murowane domy budowano na zasadzie samopomocy sąsiedzkiej, i – co podkreśliła pani Helena, przy sporej pomocy lokalnych władz w formie niskoprocentowych kredytów oraz dostaw materiałów budowlanych.

Już w roku następnym wybudowano drogę i pojawiła się energia elektryczna. Stopniowo powstawały budynki użyteczności publicznej: sklep oraz czteroklasowa szkoła podstawowa, wówczas filia szkoły w Bukowcu. W 1970 r. dociągnięto linię telefoniczną (najpierw do sółtysa). W latach 1974–75 wykonano meliorację pól oraz wiejski wodociąg. Sieć gazową założono w latach 1991–92.

Ważnym wydarzeniem dla lokalnych społeczności było zarejestrowanie w 1982 r. Protestantckiej Wspólnoty Regionu Podkarpackiego – Kościół Zielonoświątkowy, której nazwa w 1988 r. została zmieniona na obecną: Ewangeliczna Wspólnota Zielonoświątkowa.

ZWIĄZEK STANOWCZYCH CHRZEŚCIJAN

Tu właśnie otrzymaliśmy odpowiedź na pytanie sformułowane na wstępie. Otóż w 1910 r. w łonie Ewangelickiego Kościoła Augsburgskiego Wyznania na Śląsku Cieszyńskim powstała wspólnota zarejestrowana w monarchii austro-węgierskiej jako Związek Stanowczych Chrześcijan. Miała ona charakter ewangeliczny, a wyznanie wiary opierała wyłącznie na treści Pisma Świętego, które uważała za jedyne natchnione przez Boga-Stwórcę poselstwo dla człowieka.

W WOLI PIOTROWEJ

W dalszej drodze, parę kilometrów za miasteczkiem Bukowsko, skręciliśmy do Woli Piotrowej, której zabudowania przylegały po jednej i drugiej stronie do lokalnej drogi wznoszącej się pod szczyt Tokarni (777 m n.p.m.). Można dodać, że przebiega tutaj czerwony Główny Szlak Beskidzki wyznaczony od Bieszczad aż po naszą Czantorię, więc jakby symbolicznie łączący te odległe od siebie regiony.

Już same zabudowania wyglądały, jakbyśmy jechali przez nasze podcieszynskie *dziedzi-ny*. Na wjeździe witał przybyszów zadbane przystanek autobusowy o dumnej nazwie *Galeria*. Z tablicy informacyjnej i wyeksponowanych historycznych zdjęć można było sporo się dowiedzieć o historii wsi.

Pierwsza wzmianka o *Pyothrowej Wolyi*, jak ją nazwano, pochodzi z XVI w. W 1936 r. mieszkało w niej 457 mieszkańców, w większości Łemków wyznania greckokatolickiego. Łemkowie to grupa górali Rusińskich, zwanych też Rusnakami, która osiadła po obu stronach Karpat na obecnym pograniczu polsko-słowacko-ukraińskim. Powszechnie byli uznawani za Ukraińców, więc już w 1944 r. nastąpiły ich pierwsze wysiedlenia na teren Ukrainy. Jednak to niszczycielska działalność sotni UPA mająca oparcie w miejscowej ludności spowodowała ich całkowite wysiedlenie przeważnie na tzw. Ziemię Odzyskane.

Akcja o kryptonimie *Wista* trwała ledwie 3 miesiące 1947 r. W jej rezultacie wywieziono ponad 140 tys. osób i w efekcie sporo wsi takich jak Piotrowa Wola praktycznie przestało istnieć. Dopiero po następnych dwudziestu latach na te już prawie dziewicze tereny dotarli pierwsi osadnicy ze Śląska Cieszyńskiego.

Od młodego człowieka koszącego trawę przy zborowym budynku tutejszej Ewange-

licznej Wspólnoty Zielonoświątkowej dowiedzieliśmy się gdzie mieszka sółtys. Pod jego nieobecność serdecznie nas przyjęła p. Helena Hołomek pochodząca z.... podcieszynskiej Brzeźówki. Nieopisane wzruszenie i radość opanowały wszystkich, kiedy na powitanie wspólnie zaśpiewaliśmy kilka naszych regionalnych pieśni.

NIEŁATWE POCZĄTKI

Siedząc w ogródku przy kawie, wysłuchaliśmy opowieści o niełatwych początkach ponownego cywilizowania tej okolicy. Pierwszymi osadnikami byli Adam i Karol Kupka oraz Andrzej Pietroszek z rodzinami, którzy przybyli tu w 1966 r. Następnie docierali kolejni osadnicy tworząc zręby nowej Woli Piotrowej. Co ciekawe, w odróżnieniu od pozostałych obu wsi byli to ludzie pochodzący z obu stron naszej Olzy.

Osadnikom na początku było bardzo ciężko: surowy klimat, górzysty teren, zarosnięte pola i całkowity brak cywilizacyjnych udogodnień. Osadnicy mieszkali najpierw w namiotach, bowiem opuszczone łemkowskie drewniane chałupy *chyże*





Po 1920 r. terytorium Śląska Cieszyńskiego zostało rozdzielone pomiędzy Polskę oraz Czechosłowację (późniejsze Zaolzie), tym samym wspólnotowe zbory rozwijały się już niezależnie od siebie. Po II wojnie światowej, w czasach natarczywej laicyzacji ówczesnej Czechosłowacji, członkowie wspólnoty otwarcie przyznający się do swojej wiary byli prześladowani, nierzadko aresztowani, spotykali się z ostracyzmem i spychaniem na społeczny margines. Zapragnęli zatem przenieść się do Polski, gdzie pod względem wolności wyznania jednak było dużo lepiej.

Ostatecznie, po długim wahaniu i przeprowadzeniu rozpoznania terenu przyszłego miejsca zamieszkania, w drugiej połowie lat 60. XX w. sprzedali bądź spakowali cały swój dobytek, opuścili rodzinne, zamieszkałe od pokoleń strony i wyjechali do swojej Ziemi Obiecanej. A tą Ziemią były południowe rubieże obecnego woj. podkarpackiego leżące niedaleko Sanoka i Rymanowa, a konkretnie trzy miejscowości: Puławy, Wola Piotrowa i Wisłoczek.

PUŁAWY, WOLA PIOTROWA I WISŁOCZEK

Wioski te są malowniczo położone na stokach Beskidu Niskiego, w krajobrazie całkiem podobnym do swojskich beskidzkich *gróni*. W każdej powstały wybudowane własnym staraniem obiekty sakralne nazywane *Domami modlitwy* służące do zgromadzeń i wspólnej modlitwy. W Woli Piotrowej zbor został oddany do użytku w 1984 r. Wspólnota prowadzi również działalność misyjną, bowiem z jej inicjatywy powstał zbor w Sanoku. Wspiera też duchowo osadzonych w zakładach karnych i służy pomocą osobom walczącym z uzależnieniami.

Podgórskie rolnicze tereny nadają się zwłaszcza do hodowli zwierząt i tym głów-

nie zajmowali się nasi osiedleńcy. W latach 1976–2004 działała tutaj Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna. Obecnie już się to zmienia, jak dowiedzieliśmy się od p. Daniela Rzymana, którego rodzice pochodzą z Kocobędza.

Rzymanowie prowadzą hodowlę bydła mlecznego na wielką skalę, mają wyspecjalizowane gospodarstwo i kontrakt na stały odbiór mleka. Takich gospodarzy jest tutaj jeszcze kilku. Ponadto prosperuje też kilka prywatnych warsztatów wytwarzających m.in. meble, a także gospodarstwa agroturystyczne nastawione na ostatnio prężnie się rozwijającą turystykę. Jednak sporo mieszkańców dojeżdża do pracy w okolicznych miejscowościach. Daje się też odczuć odpływ ludzi młodych, którzy wybierają łatwiejsze życie w większych aglomeracjach. W 2007 r. wieś liczyła 321 mieszkańców.

Wracając odwiedzamy też miejscowy cmentarz położony na stromym stoku w dolnej części wsi. Na nagrobkach odcytujemy swojsko brzmiące nazwiska pionierów, którzy już odeszli do wieczności:

Łupieżowiec, Krużółek, Watoszek, Folwarczny, Śniegoń.... A po dawnych mieszkańcach, czyli Łemkach, pozostał tylko samotny drewniany krzyż.

Swymi wspomnieniami podzielił się też p. Daniel Brózda pochodzący z Cz. Cieszyna, który jako nastolatek przybył do Puław w 1969 r. i – jak podkreślił – to miejsce od razu go urzekło. Sporo w tym prawdy, jednak trzeba przyznać, że dostać się tutaj na rowerze ze względu na przewyższenie nie było łatwo. Puławy Dolne i Górne powstały również w XVI w. wzdłuż potoku Bridok, i sięgają aż pod stoki Kiczery (640 m n.p.m.) oraz Polany (691 m n.p.m.).

Pod koniec XIX w. mieszkało tutaj ok. 700 osób, w większości Łemków. Grekokatolicka cerkiew istniała od 1831r. i przetrwała aż do lat 50. ub. wieku, kiedy została rozebrana. Łemkowie trudnili się hodowlą owiec, wyrabiali gonty i młyńskie kamienie. W roku 1947 zostali oni, podobnie jak w całym regionie, zmuszeni do opuszczenia swoich domostw, a ponowne zasiedlenie opustoszałej wioski nastąpiło w latach 1968–1970.

Obecnie mieszka w Puławach ok. 200 osób. Tutaj również postawiono na hodowlę bydła i produkcję mleka, obok tego jednak zauważono również i doceniono atuty miejscowej pięknej górskiej krainy. W 2002 r. założono stowarzyszenie Beskidzkie Towarzystwo Turystyczne *Przełom Wisłoka*, którego celem jest propagowanie zdrowego stylu życia, turystyki i sportu, a także promowanie własnej miejscowości.

Dzięki operatywności naszego rozmówcy oraz innych mieszkańców w Puławach Górnych funkcjonuje obecnie Ośrodek Sportowo-Turystyczny *Kiczerski* oferujący wyjaz-





dy wyciągiem krzeselkowym na Kiczere, dobre jedzenie w nowoczesnej restauracji *Amadeus* i nocleg w kilku pensjonatach, w tym w wysokiej klasy *Salamandrze*. Autorów białego szaleństwa przyciągają przygotowane stoki narciarskie, a rowerzystów wytyczone w ramach programu Zagłębie Aktywnej Turystyki górskie trasy MTB.

W WISŁOCZKU

Kilka kilometrów od Puław, w bocznej odnodze doliny Wisłoka, wzdłuż potoku Wisłoczek leży wioska o tej samej nazwie. Niedgdy należała do parafii we wsi Tarnawka, na której ślady natrafiliśmy u wylotu doliny. Zachowały się tu dwa zarośnięte cmentarze z ledwie kilkoma nagrobkami oraz miejsce po cerkwi, którą rozebrano w latach 1955–1956. Była tu również szkoła, tartak i karczma. Wszystkie budynki z tej liczącej ok. 350 mieszkańców wsi w większej części spłonęły w 1944r. podczas działań wojennych w ramach operacji dukielskiej, a pozostałe rozebrali mieszkańcy okolicznych wsi, kiedy w 1946 r.

dawnych właścicieli wraz z rodzinami wysiedlono w rejon Tarnopola na Ukrainie.

Wisłoczek podobnie jak Wola Piotrowa rozlokował się wzdłuż drogi pnącej się ku przełęczy Wierch (642 m n.p.m.), i obecnie prezentuje się wspaniale. Zadbane murowane domy z ogródkami, obszerny Dom Modlitwy w środku wsi, oddany do użytku w 1994 r., mówią wiele o zaradności mieszkańców.

Pogoda sprawiła nam niespodziankę i zaczęła się ulewa, wjechaliśmy więc pod daszek najbliższego domu. Traf chciał, że był to dom naszego rozmówcy z Nowotańca, gdzie zostaliśmy serdecznie przyjęci przez panią Joannę Konderla-Ozimina. Pani Joanna jest nauczycielką w szkole podstawowej w Bukowcu i przyjechała tutaj jako dziecko, natomiast jej mama p. Maria Konderla z Oldrzychowic z przejęciem opowiadała nam o trudnych początkach kolonizacji tych półdzikich wówczas okolic.

Dowiedzieliśmy się wiele o mieszkaniu pod namiotem w czasie, gdy domy dopiero budowano, o srogich zimach kiedy zaspę sięgały po pas, o gruntowej, rozjeżdżonej,

jedynej dającej kontakt z cywilizacją drodze, która przy wezbrany potoku stawała się całkiem nieprzejezdna. Osadnicy w Wisłoczku w większości pochodzą z Trzyńca i jego okolic: Końskiej, Oldrzychowic, Dolnego Żukowa i Wędryni. Pastor-senior opiekujący się zbozem również pochodzi z Trzyńca Końskiej. Obecnie wioska liczy ponad 150 mieszkańców, w większości zajmujących się rolnictwem. Prosperuje tutaj dziewięć dużych gospodarstw, a farma krów w budynkach dawnej RSP, położona na końcu wsi w pobliżu przełęczy, należy do największych w całym regionie.

Po tych kilku spotkaniach z naszymi rozmówcami, nie mogliśmy wyjść z podziwu i oprzeć się myśli jak wielką była motywacja i determinacja tych ludzi (łącznie ok. 100 rodzin), że postanowili opuścić rodzinne, bądź co bądź dobrze zagospodarowane strony i wyjechać w nieznaną, aby zacząć wszystko od nowa, i to w całkiem nieznanym środowisku. Dzięki tym wzruszającym spotkaniom poczuliśmy się jak u siebie, choć od Cieszyna dzieliło nas ok. 300 km.

Mówią, że wiara czyni cuda. Po zwiedzeniu tych okolic przyznajemy, że w tym twierdzeniu jest sporo prawdy.

No i jeszcze wisienka na torcie. W drodze do Puław, w miejscowości Rudawka Rymnowska obeerzeć można malowniczy przełom Wisłoka – objęty ochroną rezerwat przyrody o swojsko brzmiącej nazwie *Olzy*. W okolicach jest oczywiście dużo innych atrakcji historycznych i przyrodniczych, a także dwa renomowane uzdrowiska Rymanów i Iwonicz Zdrój.

Podsumowując nasze doświadczenia uważam, że układając plany urlopowe należy wziąć pod uwagę wypoczynek w tych pięknym okolicach *kaj ludzie godajom po naszymu*.





35

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

JABŁONKÓW

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA

Na spacer po Jabłonkowie zabrał mnie Jan Ryłko – prezes tamtejszego Miejskowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej (fot. 35). Przeszliśmy zaledwie 4 kilometry choć, jak podkreślał mój przewodnik, ciekawych miejsc w jego rodzinnym mieście jest na dwa dni spacerowania. My odwiedziliśmy te najważniejsze leżące najbliżej centrum.

Spacer po Jabłonkowie rozpoczęliśmy w części miasta nazywanej Na Pastuszcze, 150 metrów powyżej przystanku autobusowego Jabłonków, sanatorium. Znajduje się tutaj parking, na którym – jeśli chcemy przyjechać samochodem – możemy nasz pojazd zostawić. Spacer jednak zakończymy po niespełna 4 km w innym miejscu – w Lasku Miejskim.

– Jest to ta część Jabłonkowa, gdzie urodził się mój ojciec i gdzie wychowywali się jego bracia i siostra. Tutaj mieszkali całą rodziną aż do wybuchu wojny – wyjaśnia mój przewodnik.

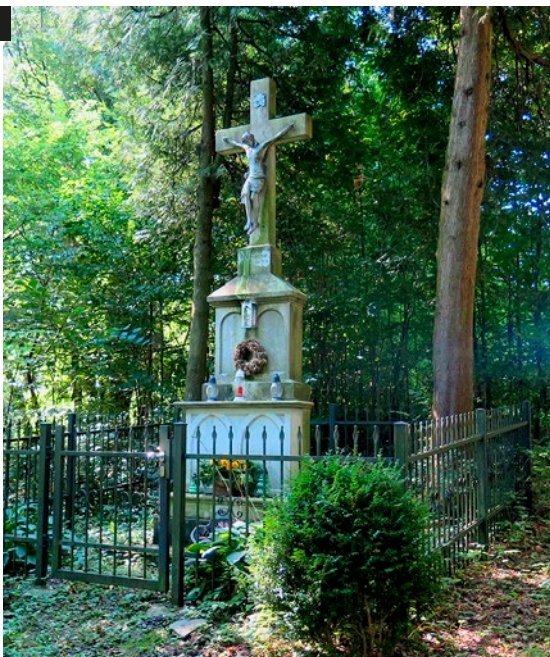
Pierwszym miejscem, do którego mnie prowadzi, jest znajdujący się blisko drogi, jed-

nak niewidoczny z niej, krzyż z datą 1925 (fot. 1). Wspomina, że w dzieciństwie chadzał tam z rodziną na spacer.

Spod krzyża ruszamy skrajem łąki, wzdłuż drogi, dalej. Łąkę od drogi oddziela szpaler dorodnych drzew. – Kiedyś niektórych tych drzew wcale nie było, a te, które były, miały nie więcej, jak dwa metry wysokości. Tak więc od tego krzyża było widać dom mojego dziadka – Ryłko wskazuje na ściągę drzew na końcu łąki. Schodzimy z łąki pokrytej obficie rosą i skrajem drogi podchodzimy do wspomnianego domu rodzinnego ojca mojego przewodnika (fot. 2).

– Tutaj się zaczyna historia mojego życia, bo tutaj się urodził mój ojciec. Ojciec moje-

1





go ojca, czyli mój dziadek był piekarzem. A babcia, jak to bywało w tamtych czasach, zajmowała się domem. Ojciec był najmłodszy z rodzeństwa. Miał jeszcze dwóch braci i jedną siostrę. Jeden jego brat zmarł kilka lat temu. Drugiego brata zastrzelili Niemcy pod koniec II wojny światowej pod Kozubową, gdy miał dwadzieścia kilka lat, razem z jego szwagrem, ponieważ obydwoj działali podczas okupacji w partyzantce, bronili polskości tego kawałka kraju. Siostra mojego ojca żyje w domu św. Elżbiety. Jeśli zaś chodzi o historię mojego ojca, to został on wywieziony na roboty do Niemiec. Uciekł stamtąd. A ponieważ przed końcem wojny tutaj go szukali, to uciekł do Polski. Gdy zaczęły się tam formować oddziały Wojska Polskiego, to od 1945 do 1948 roku, czyli trzy lata po wojnie, walczył w Bieszczadach z Ukraińską Armią Powstańczą – Jan Rytko opowiada historię swej rodziny.

SANATORIUM

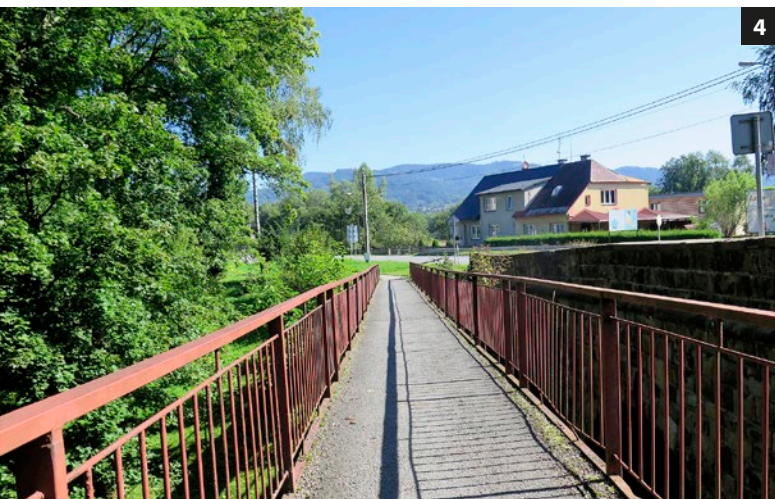
Spod domu rodzinnego ojca Jana Rytki wracamy w stronę parkingu. Mijamy zaparkowany tam samochód i idziemy dalej, do głównej drogi biegnącej przez Jabłonków. Wychodzimy wprost na bramę sanatorium (fot. 3). – Do sanatorium chodziliśmy często do basenu, na spacer z rodzicami – wyjaśnia mój przewodnik. Mówi, że w sanatoryjnym parku jest bardzo bogaty zbiór

drzew, krzewów, kwiatów, więc jeśli kogoś interesuje botanika, parki, ogrody, to warto, by się po sanatoryjnym parku spacerował. Jest on dostępny dla wszystkich. Samo sanatorium zaś zajmuje się przede wszystkim leczeniem chorób płucnych. Oznacza to, że powietrze w Jabłonkowie jest dobre. – Jesteśmy w kotlinie. Dookoła są góry. Tak więc naprawdę powietrze jest tutaj dobre. Szczególnie, kiedy wieje od strony Słowacji. Bo wtedy wymiata ten cały dym i kurz, który leci do nas z huty trzynieckiej. Chociaż trzeba przyznać, że teraz już bardzo dużo zrobiono w tym kierunku, żeby nie wypuszczać tylu zanieczyszczeń w powietrze. Ogólnie w ostatnich latach sporo zrobiono dla ekologii. Przykładowo był okres, kiedy w Olzie w ogóle nie było

raków, które są probiezerm czystości wody. A około dwadzieścia lat temu te raki się pojawiły znów – cieszy się mój przewodnik.

Przy sanatorium skręcamy w prawo i idziemy w dół, w stronę centrum Jabłonkowa. Przechodzimy przez mostek na rzeczce Oszetnicy – dojdzie Łomnianki (fot. 4). – Kiedyś, za młodych lat, łapaliśmy tutaj z kolegami pstrągi – wspomina mój przewodnik. Oczywiście owe pstrągi łapali gołymi rękami.

Za mostkiem znajduje się przystanek autobusowy (fot. 5). Pomiędzy nim, a blokami zasiano kwietną łąkę (fot. 6). Mój przewodnik wspomina, że bloki te, choć nie są naturalną, historyczną zabudową górskiego Jabłonkowa, stały w tym miejscu odkad





7

pamięta. Idąc dalej w stronę centrum mijamy plac zabaw dla dzieci (fot. 7) oraz dom pogodnej starości.

Dochodzimy do pomnika I wojny światowej (fot. 8). – Pomnikami pamięci narodowej zawsze zajmowali się członkowie naszego Miejscowego Koła PZKO, którzy dbali o to, żeby w rocznice różnych wydarzeń można tam było złożyć kwiaty, zapalić świeczkę. Nawet za komuny tak było i tak jest do tej pory. Troszczymy się nie tylko o ten pomnik z I wojny światowej, ale także o inne, które są ważne dla naszej historii, na przykład na cmentarzu, gdzie zaraz pójdziemy – mówi mój przewodnik.

CMENTARZ

Kolejnym przystankiem jest właśnie cmentarz. Tam mój przewodnik opowiada o losach kolejnych członków swej rodziny, a także osób zastużonych dla Jabłonkowa, które tam spoczywają, oraz o wojennej historii związanej z legionami Piłsudskiego. – Jeśli ktoś przejdzie się przez cmentarz i czyta inskrypcje na nagrobkach to zobaczy, że cmentarz jest wielką księgą historii miasta Jabłonkowa – zauważa Rytko.

Spacerując po cmentarzu odwiedzamy groby rodziny mego przewodnika (fot. 9): matki, ojca, brata Stanisława, dziadków ze strony mamy. Stajemy nad mogiłą z wyry-

tym nazwiskiem Pilich kojarzącym się na Zaolziu ze Stowarzyszeniem Rodzina Katyńska. Mój przewodnik ubolewa nad tym, że swego dziadka nie poznał. Józef Pilich został zamordowany strzałem w tył głowy w Miednoje niedaleko Katynia.

– To jest jego grób symboliczny. Moja babcia nigdy się nie dowiedziała, co z nim się stało, chociaż po wojnie pisała do Czerwonego Krzyża i gdziekolwiek się dało. Zawsze mówiła, że go Ruscy zamordowali, chociaż nie miała na to żadnych dowodów. Jedyne taką książkę, którą wydali w 1943 roku Niemcy, w której były zdjęcia z Katynia i okolic. Kiedy odtajniono archiwa radzieckie i mogli wejść tam badacze, zajęli się tym tematem również profesor Mečislav Borák i znalazł tam nazwisko mojego dziadka. Mama, razem ze swoim bratem, czyli z moim wujkiem Józefem Pilichem pojechali wtedy do Miednoje. Miała możliwość pomodlić się na mogile swego ojca i zabrać trochę ziemi, którą przywiozła tutaj, do Jabłonkowa i zostawiła w tej mogile – opowiada Jan Rytko.

Wspominając swoją mamę mój przewodnik mówi, że była nauczycielką języka polskiego oraz historii w szkole podstawowej w Jabłonkowie. Było to dla niej niesamowicie trudne, że nie mogła dzielić się swoją wiedzą z uczniami. Takie bowiem były czasy, że o prawdzie historycznej mówić nie było wolno. A i tak na dwa lata przed emeryturą dyrektor szkoły wyrzucił ją

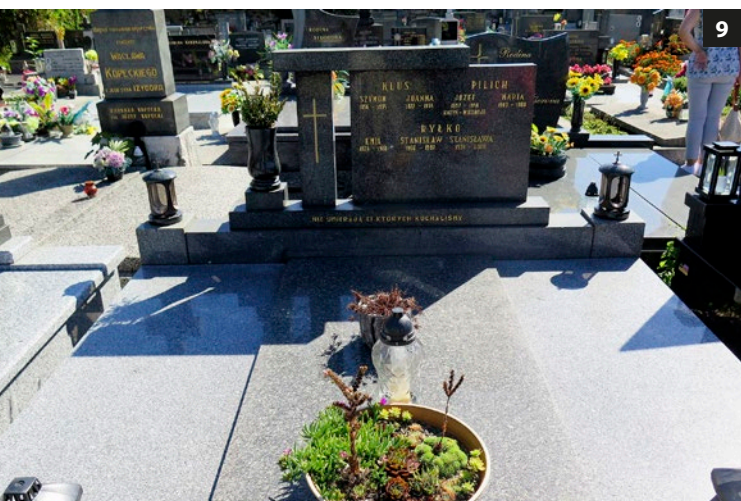
z pracy. – Za to, że się dowiedziało, że mój brat wziął ślub kościelny – wyjaśnia Jan Rytko. – Tak więc ostatnie dwa lata do emerytury moja mama przepracowała w Mostach – dodaje, że właśnie tak wyglądały komunistyczne opresje w Czechosłowacji.



8



10



9



11



POMNIK LEGIONISTÓW

Najbardziej charakterystycznym pomnikiem na jabłonkowskim cmentarzu jest niewątpliwie pomnik legionistów (fot. 10), którzy leczyli się w sanatorium, jednak zmarli. – *Nie wiem, czy wszyscy o tym wiedzą, warto więc wspomnieć, że marszałek Piłsudski spędził w Jabłonce kilka dni, w tym wigilię* – podkreśla Rytko.

– *Warto jeszcze wspomnieć o znajdującym się na tym cmentarzu grobie nieznanego żołnierza. Kiedyś stał na nim krzyż brzoźowy jako symbol młodego zniszczonego życia. Po jakimś czasie ten krzyż brzoźowy zniknął i w ramach dotacji z Unii Europejskiej władze miasta postanowili zrobić porządną grob. Tyle, że okazało się, że napis był wyłącznie czeskojęzyczny. Poszedłem więc do Urzędu Miasta z zapytaniem, czy w tym grobie nieznanego żołnierza leżą wyłącznie żołnierze czescy. Przecież wiem, że nie tylko czescy, ale przede wszystkim polscy. Więc później dodatkowo dopisano grób nieznanego żołnierza po polsku* – relacjonuje Jan Rytko.

Na cmentarzu odwiedzamy jeszcze kilka grobów zasłużonych dla Jabłonce mieszkańców, m. in. Karola Piegzy – dyrektora szkoły podstawowej, który był współtwórcą „Gorolskiego Świąta” czy groby sióstr elżbietanek (fot. 11), których zakon mocno związany jest z Jabłonce. – *Nawet za komuny w wigilię zawsze*

odprawiana była w ich kościele jutrznia. I zawsze odprawiana była po polsku – wspomina Rytko.

Już za murem okalającym cmentarz mój przewodnik zwraca uwagę na jeszcze jeden pomnik historii – tablicę umocowaną od zewnętrznej strony na murze cmentarnego ogrodzenia (fot. 12). – *Miesiąc przed końcem wojny w Jaworzynce zostało schwytych dwunastu przypadkowych mieszkańców Istebnej i Jaworzynki. Przywieziono ich do Jabłonce, postawiono pod tym murem i rozstrzelano* – mówi Rytko. Powodem rozstrzelania była działalność podczas wojny grupy partyzanckiej w Istebnej i Jaworzynce. Za murem tym natomiast znajduje się cmentarz żydowski.

SZKOŁA PODSTAWOWA IM. HENRYKA SIENKIEWICZA

Opuściwszy cmentarz udajemy się w stronę szkoły podstawowej im. Henryka Sienkiewicza (fot. 13). Mój przewodnik zaznacza, że i on jest jej absolwentem. – *Tam też chodzę z moimi wykładami na temat Katyń. Przejąłem pateczkę prowadzenia Stowarzyszenia Rodzina Katyńska po mojej mamie i moim wujku. Uważam to za swój obowiązek. Wiedza na temat zbrodni katyńskiej wśród Zaolziaków jest mizerna. Kiedy pytam uczniów, kto słyszał w ogóle słowo*

Katyń i cokolwiek wie na ten temat, to w zależności od szkoły albo się podnoszą dwie, trzy ręce, albo czasami więcej. Ale generalnie świadomość tej historii jest za mała – zauważa Rytko.

Naprzeciwko szkoły jest budynek przychodni lekarskiej (fot. 14).

– *W tym budynku przed wojną był sąd powiatowy w Jabłonce oraz więzienie. Następny budynek – willa w stylu funkcjonalizmu – po II wojnie światowej mieścił przez kilkadziesiąt lat przedszkole, do którego uczęszczał mój przewodnik (fot. 15). Naprzeciw zaś znajduje się tzw. willa Loreńczuków (fot. 16). Na jej elewacji od strony głównej ulicy z inicjatywy MK PZKO w Ja-*





18



19



17

W tym domu, w 1914 r. mieszkał JÓZEF PIŁSUDSKI 1. MARSZAŁEK POLSKI W 20. ROCZNICĘ POLSKIEGO CZYNU ZBROJNEGO 1914 - 1934

W 80. ROCZNICĘ DOBYTU NACZELNIKA I BRIGADY LEGIONÓW W JABŁONKOWSKIM 1914 - 1994

RODACY 1867 - 1935

DOM PZKO

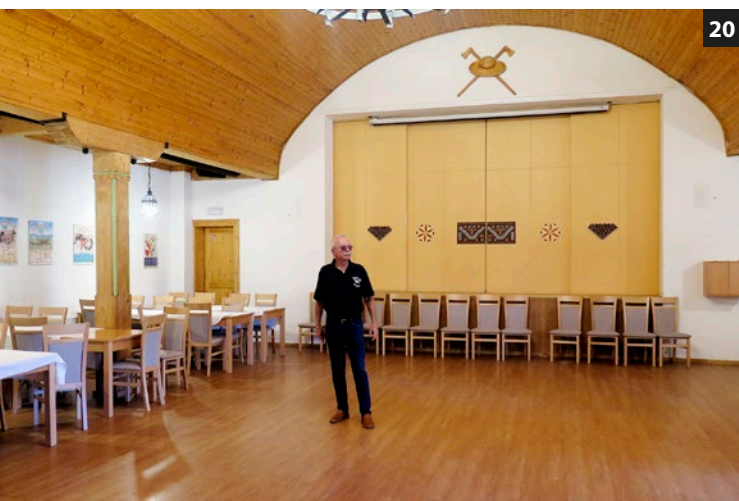
Dalej idziemy w stronę Domu PZKO (fot. 18). – Historia obiektu jako domu PZKO zaczyna się w latach 80. XX wieku. Wcześniej zlikwidowano dużą część starego Jabłonkowa po to, żeby zasymilować mieszkańców Jabłonkowa z ludnością napływową, czyli, mówiąc wprost, żeby rozwalić te wielowiekowe więzy rodzinne, sąsiedzkie, międzyludzkie, jakie między sąsiadami były. Ten dom otrzymaliśmy, kiedy zlikwidowali nam Czytelnię Katolicką, która była własnością całego Koła PZKO, a wcześniej ludności polskiej w Ja-

blonkowie. Nasi przodkowie wybudowali ją za własne pieniądze. A tamta część Jabłonkowa została zrównana z ziemią. Obecny Dom PZKO to stary dom kupiecki, który został przez nasze Koło PZKO wyremontowany. Był w takim stanie, że nikt go nie chciał. Miasto wprawdzie proponowało go różnym innym organizacjom, a na samym końcu PZKO. Dach był zapadnięty, pierwszego piętra nie było, a na parterze był jeden tylko pokój, w którym mieszkała starsza pani, która była właścicielką tego domu. I w takim stanie budynek ten przejął PZKO. Jak wygląda on teraz, to widzimy. Tutaj więc odbywa się cała nasza działalność kulturalno-oświatowa. Chociaż w ograniczonym stopniu, ponieważ sto metrów stąd mieszka taki jeden sympatyczny przedstawiciel czeskiej większości, któremu przeszkadza to, że w Domu PZKO odbywają się polskie imprezy przy dźwiękach muzyki. Tak więc w tej chwili cała działalność Miejscowego Koła, czyli 350 członków PZKO, jest zablokowana przez tego jednego człowieka... – mój przewodnik nie kryje rozgoryczenia.

Mijamy zawieszoną na elewacji tablicę poświęconą Karolowi Piegzie (fot. 19) i wchodzimy do wnętrza budynku. Znajduje się w nim duża, profesjonalna sala ze sceną z prawdziwego zdarzenia (fot. 20). Dobudowę Domu PZKO sfinansowało Stowarzyszenie Wspólnota Polska dzięki przychylności profesora Andrzeja Stelmachowskiego.

– Odbywają się tutaj m.in. wydarzenia polskiej szkoły i przedszkola, uroczystości rodzinne (pogrzeby, wesela), bale MK PZKO oraz Macierzy Szkolnej, wystawy i sprzedaż polskiej książki wspólnie z księgarnią państwa Wirthów, uroczystości z okazji świąt państwowych RP, a także wiele innych akcji kulturalno-oświatowych – wylicza prezes MK PZKO. Sala mieści 120 osób. Ale, jak przyznaje mój przewodnik, podczas spotkań Sekcji Kobiet bywało tu i dwieście osób i się zmieściło. Naprzeciw sceny zaś znajduje się efektowny balkon (fot. 21) będący nie tylko arcydziełem snycerskim, ale pełniący także funkcje edukacyjne. – Na jego przykładzie możemy pokazać wzory ogrodzeń, jakie stosowane były historycznie na naszym terenie – wyjaśnia Rytko. Na ścianach z kolei obejrzyć można kolekcję biletów na sztandarową imprezę organizowaną przez MK PZKO Jabłonków już od 76 lat – *Gorolski Świątko* (fot. 22), a także plakatów imprezy (fot. 23). W salce na piętrze z kolei prezes MK PZKO pokazuje mi tablo ze zdjęciami kolejnych prezesów MK PZKO Jabłonków (fot. 24) oraz zdjęcie Czytelni Katolickiej (fot. 25) – poprzedniej, nieistniejącej już siedziby MK PZKO Jabłonków.

Jabłonkowski Dom PZKO posiada także przestronną, w pełni wyposażoną, profesjonalną kuchnię, bufet, szatnie i toalety, a także inne, mniejsze pomieszczenia.



20



21



22

z 1655 roku. Jak informuje mnie mój przewodnik, przeniesiona została z innego miejsca. Wcześniej bowiem miejsce to nazywane było *ciściarnią*. Przychodzono tam prac pranie.

– A tam, gdzie teraz jest drogeria, naprzeciwko kościoła, kiedyś była bardzo znana gospoda w Jabłonkowie. Mówiło się „Do Stańka” – mój przewodnik zauważa, że jedni chodzili do gospody, inni do kościoła, a najczęściej jedno i drugie – po mszy kierowano swe kroki wprost do gospody.

My natomiast przechodzimy pomiędzy kościołem a obecnym Miejskim Centrum Informacji *Jacki* (fot. 27), gdzie mój przewodnik opowiada historię tegoż budynku. – *Jest to dawna szkoła podstawowa dla klas 1 – 5. Też do tej szkoły chodziłem – mówi mój przewodnik. Wspomina, jak w zimie użytkowane były przez uczniów znajdujące się za szkołą schody... – W zimie była tutaj „ścieżka zdrowia”. Bo kiedy napadało metr śniegu, to można było wsadzić sobie teczkę, którą nosiliśmy do szkoły pod tyłek, i zjeżdżaliśmy po tych schodach aż na dół. Zabawa polegała na tym, że trzeba było wyrobić się na zakręcie – wspomina.*



23

W jednym z nich odbywają się próby Męskiego Chóru MK PZKO *Gorol*, czy spotkania Klubu Kobiet lub Klubu Seniora.

– *Przybudówka, zrealizowana za prezesury mojego przewodnika, mieści natomiast Izbę Regionalną im. Adama Sikory, która ma w swoim posiadaniu ponad 900 artefaktów dokumentujących historię miasta – wyjaśnia prezes MK PZKO.*

RYNEK

Z Domu PZKO wychodzimy na Rynek (fot. 26). Stojąca na nim figura *Immaculaty* – Niepokalanej Marii Panny pochodzi



26



24



25

PREZESI MK PZKO
W JABLONKOWIE

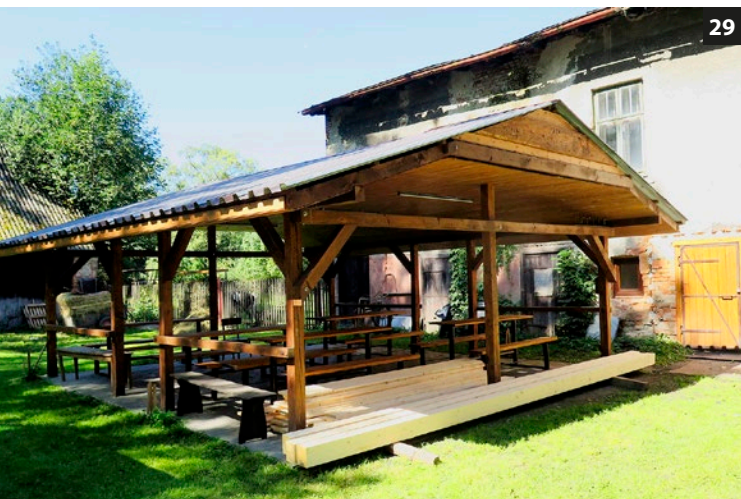




MAZUROWICE

My po schodach schodzimy i kierujemy się do mostku przez Łonniankę. – *Tu jest kolejne miejsce ściśle związane z działalnością naszego Miejscowego Koła PZKO, tak zwane Mazurowice (fot. 28). Obecnie zaczyna powoli odżywać. Klub Seniora niedawno się zmobilizował i zaczął porządkować to miejsce i organizować tutaj różne akcje. Myślę więc, że się to miejsce rozwinie. Choć dom wymaga porządnego remontu. Jest tutaj też około pół hektara ogrodu, który można również wykorzystać na organizację najróżniejszych wydarzeń* – mówi prezes MK PZKO. I wspomina, że Koło organizowało tutaj przykładowo wianki. Wyjaśnia także, dlaczego miejsce to nazywane jest Mazurowice. Otóż Miejscowe Koło PZKO otrzymało tę nieruchomości w spadku po pani Mazurowej. We wspomnianym ogrodzie natomiast wybudowano wiatę umożliwiającą organizację imprez plenerowych przy każdej pogodzie (fot. 29).

Wracamy na rynek idąc wąską uliczką (fot. 30), obok zabytkowego budynku z podcieniami, który był niegdyś własnością księżnej Elżbiety Lukrecji. Obecnie mieści się w nim ekspozycja *Muzeum Trójstyku*. Mój przewodnik ubolewa jednak nad niedociągnięciami merytorycznymi w jej przygotowaniu.



CZYTELNIA KATOLICKA

Kolejnym miejscem, które podczas spaceru po swoim mieście chce pokazać mi mój przewodnik, jest to, w którym niegdyś stała Czytelnia Katolicka. Wcześniej jednak przechodzimy przez osiedle. Gdy idziemy pomiędzy socrealistycznymi blokami z wielkiej płyty Jan Rytko opowiada, że pamięta, jak jeszcze w miejscach tych stały domy rzemieślników, młyn, stolarnie. – *Ani tych bloków, ani tych brzoź tutaj nie było. W tym miejscu jesteśmy na terenie mojego domu rodzinnego i ogrodu, który tutaj mieliśmy. Tędy biegła droga w kierunku Pioski i Bukowca, a tam prowadziła droga z Nawsia. Te dwie drogi się tutaj łączyły, a tutaj, przy złączeniu tych dwóch dróg był nasz ogród i stał nasz dom...* – opierając się o jedną z brzoź mój przewodnik snuje wspomnienia z wcale przecież nie tak odległych czasów (fot. 31).

Jeśli chodzi o samą Czytelnię Katolicką, to nim ją wyburzono, to była ona siedzibą MK PZKO. – *Młodziź PZKO-wska, w tym także i ja, organizowała tutaj szereg wydarzeń, w tym tak zwane rewie młodzieżowe. Działał Klub Młodych MK PZKO. Odbываły się tutaj przedstawienia szkolne i przed-szkolne. Słowem było to centrum polskości* – wspomina mój przewodnik stojąc pod drzewem otoczonym pustym kawałkiem trawnika (fot. 32).

28

27



30

PRZEZ ŁAWKĘ NA OLZĘ

Przechodzimy przez tak zwaną *ławkę* przez Olzę (fot. 33). – *Kiedyś był tutaj drewniany most, który stał na palach. Pewnego razu zabrała go powódź, po czym zrobiono ten most ze stali* – wyjaśnia mój przewodnik.



31

29



33



34



32

doskonale wszystkim uczestnikom *Gorolskiego Święta*. Opowieść o tej największej imprezie folklorystycznej i zarazem największym wydarzeniu, na jakie co roku zjeżdżają Polacy z całego Zaolzia i nie tylko, mój przewodnik zaczyna jednak od tego, że wydarzenie to nie zawsze odbywało się w tym miejscu. – *Przeniosło się tutaj w latach 60. XX wieku* – precyzuje.

Prezes MK PZKO Jabłonków opowieść o Lasku Miejskim zaczyna od przyznania, że największą porażką w jego życiu jest to, że nie udało mu się przekonać władz miasta poszczególnych kadencji (bo prezesem MK PZKO w Jabłonkowie jest od 1991 roku), by przekazać tę część Lasku Miejskiego na własność Miejscowemu Kołu PZKO tak, jak zrobiono to w Łomnej z kompleksem, w którym odbywają się *Śląskie Dni*, przekazany za symboliczną koronę organizacji *Matrice Slezká*. – *Ja mówiłem, że nie chcę ani nic więcej, ale też nic mniej. Po prostu chciałem, żeby nas potraktowano tak samo, jak Matrice Slezká. Jednak okazało się to niemożliwe i niestety byliśmy zmuszeni sprzedać miastu ten teren za cenę*

*nieadekwatną do tego, ile w niego włożyliśmy. Tak więc sprzedaliśmy miastu scenę, którą budowaliśmy własnymi rękami za własne pieniądze, tak, jak dalszą infrastrukturę: matę podium, sanitariaty. Została nam jako nasza własność chatupa góralska, tzw. Jurowice (fot. 34) oraz nasza gorolska chatupa, gdzie w trakcie „Gorolskiego Święta” mamy swoje biuro, centrum dowodzenia. Teraz my jesteśmy tylko najemcami. Więc to miasto ma obowiązek dbać o to, by dach nad sceną był wyremontowany, by podczas „Gorolskiego Święta” nie padało na scenę, by w toaletach nie brakło wody i tak dalej. Wcześniej to my musieliśmy o takie rzeczy zadbać zarówno organizacyjnie, jak i finansowo – wyjaśnia mój przewodnik. I podsumowuje, że *genius loci* tego miejsca, jakim jest jabłonkowski Lasek Miejski, stworzyli właśnie działacze Miejscowego Koła PZKO.*

W Lasku Miejskim kończymy nasz spacer. Możemy stąd udać się na dworzec autobusowy lub wrócić pieszo do parkingu, na którym zaczynaliśmy nasz niespełna 4-kilometrowy spacer.

Wspomina, że tutaj, nad Olzą, jego rodzina miała kawałek pola. – *Chodziliśmy tutaj razem z mamą i bieliśmy pościel na stońcu. Wyglądało to tak, że mama uprała pościel, później rozkładaliśmy to na trawie i my z bratem mieliśmy konewki, chodziliśmy po wodę do Olzy i od czasu do czasu, jak to wyschło, to polewaliśmy te białe prześcieradła i białe poszwy wodą. Stońce robiło za nas całą robotę i były przepięknie białe. A jak pachniały!* – wspomina. I dodaje, że kiedyś to były pierzyny, prawdziwe, a nie tak, jak dzisiaj, z tworzyw sztucznych. I o żadnych alergiach nikt wtedy nie słyszał.

LASEK MIEJSKI

Za mostem skręcamy w prawo i kierujemy się do Lasku Miejskiego. Miejsce to znane

„Z NIM POJECHAŁABYM NA KONIEC ŚWIATA”. WISŁAWA SZYMBORSKA I KORNEL FILIPOWICZ

TEKST: RENATA PUTZLACHER / ZDJĘCIA: WIKIPEDIA

„Myśmy sobie nie przeszkadzali, nigdy nie mieszkaliśmy razem. Bo to jest trochę śmieszne, gdy jedno pisze na maszynie i drugie pisze na maszynie. Byliśmy jak konie, które nie są zbyt ciasno ze sobą lejcami sprzęgnięte. Bo te konie wtedy bardzo źle idą. Byliśmy końmi, które cwałują obok siebie. To jest lepsza sytuacja... Ja rozumiałam, co to jest pisanie i on rozumiał, co to jest pisanie. Czasem przez trzy dni się nie widzieliśmy, bo trzeba było to uszanować. Telefonowaliśmy wówczas do siebie, ale krótko. Takie komunikaty, że się żyje.”

100 u.s.

2023 • ROK WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

Wisława Szymborska w filmie Katarzyny Kolendy-Zaleskiej *Chwilami życie bywa znośne* wyznała dopiero po śmierci Kornela Filipowicza, że byli ze sobą 23 lata, choć razem nie mieszkali. I że było to największe uczucie jej życia. Filipowicz był przyjacielem i życiowym partnerem poetki, ale nie wolno zapominać, że był przez wiele lat niedocenianym prozaikiem i poetą, autorem znakomitych książek. Szymborska twierdziła, że należy mu się Nagroda Nobla na długo przedtem, niż sama została jej laureatką.

Poetka Ewa Lipska wspominała, że oboje znali się i widywali przy różnych okazjach w Związku Literatów (Szymborska pierwszy raz zobaczyła Filipowicza w 1946 albo 1947 roku w stołowce Domu Literatów na Krupniczej), przez całe lata patrzyli na siebie z daleka, „a potem nagle błysnęło i przeleciała między nimi iskra”. W wierszu Szymborskiej „Miłość od pierwszego wejrzenia” możemy znaleźć rozważania na ten temat:

*Oboje są przekonani,
że potoczyło ich uczucie nagłe.
Piękna jest taka pewność,
ale niepewność piękniejsza.
/.../
Bardzo by ich zdziwiło,
że od dłuższego czasu
bawił się nimi przypadek.*

*Jeszcze nie całkiem gotów
zamienić się dla nich w los,
zbliżał ich i oddalał,
zabiegał im drogę
i tłumiąc chichot
odskakiwał w bok.*

*Były znaki, sygnały,
cóż z tego, że nieczytelne.
/.../*

*Były klamki i dzwonki,
na których zawczasu
dotyk kładł się na dotyk.
Walizki obok siebie w przechowalni.
Był może nawet pewnej nocy jednakowy sen,
natychmiast po zbudzeniu zamazany.*

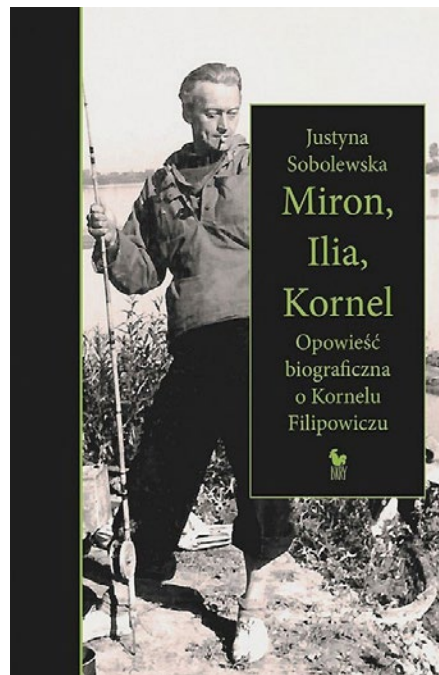
*Każdy przecież początek
to tylko ciąg dalszy,
a księga zdarzeń
zawsze otwarta w potowie.*

W filmie Kolendy-Zaleskiej poetka czyta ten wiersz już po śmierci ukochanego mężczyzny, drży jej głos, a po przeczytaniu ostatniego wersu długo milczy wzruszona.

* * *

Pochodzący z Wisły pisarz Jerzy Pilch nazywał go swoim nauczycielem, z kolei nauczycielem Filipowicza, polonistą, a także jego wychowawcą w cieszyńskim Państwo-

wym Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym, był pochodzący z Gwoźnicy poeta Julian Przyboś. Kornel Filipowicz też nie był rodowitym cieszyńszczykiem, urodził się 27 października 1913 roku w Tarnopolu, jego rodzina opuściła miasto w czasie pierwszej wojny światowej i po kilkuletniej tułaczce osiadła nad Olzą w 1923 roku. (W tym samym roku przyszła na świat w wielkopolskim Kórniku Wisława Szymborska). Filipowicz lata chłopięce i młodość



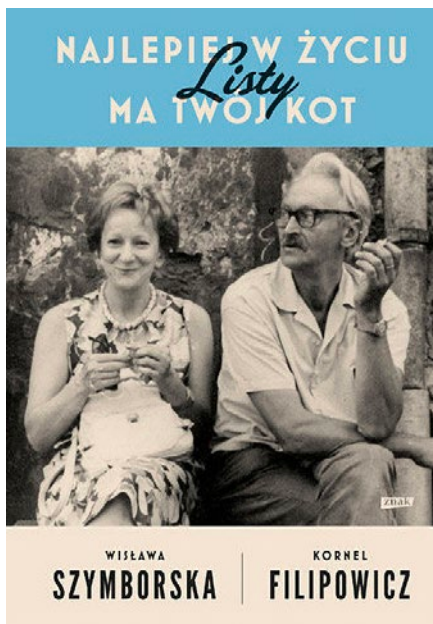
spędził w Cieszynie, jego rodzina mieszkała niedaleko koszar i Kościoła Jezusowego, w kamienicy przy ulicy Górnej 14. W 2003 roku odsłonięto tu (w obecności Wisławy Szymborskiej) tablicę pamiątkową ku czci pisarza. W opowiadaniu „Moja kochana dumna prowincja” tak opisał te strony:

O, moja słodka, dumna i drażliwa prowincjo! Jakże cię dobrze znam i rozumiem! Jestem przecież z ciebie, byłem tobą. Jesteś wrażliwa i czuła, ale pełna kompleksów, gdyż byłaś zawsze przedmiotem pośmiewiska. Jesteś mądra i chytra, kształcisz się, dużo czytasz, chłonisz radio i telewizję, ale podejrzewasz, że mogą być od ciebie chytrzejsi. Panicznie boisz się, aby nie zostać nabrana. Masz swoje upodobania, znasz się na polityce, na literaturze i sztuce. Ale niechętnie ujawniasz swoje gusty, gdyż nie zawsze pokrywają się one z opiniami obowiązującymi w stolicach. Podoba ci się bardzo obraz tego malarza, książka tego pisarza, utwór muzyczny tamtego kompozytora? Ba! Ale nie masz nigdy pewności absolutnej, że to, co ci się podoba, jest dobre. Jakże ośmieszylaś się, gdyby się okazało, że to, co ci się podoba, jest złe! Chowasz więc swoje upodobania ukryte głęboko w sercu, a publicznie uznajesz i chwalisz wielkości tylko rządu najwyższego. Najchętniej gościś u siebie Iwaszkiewicza, nie zdziwiłabyś się, gdyby wstał z grobu Hemingway i popatygował się do ciebie, do tego małego miasteczka, na autorskie spotkanie...

Dziś w cieszyńskiej kawiarni-księgarni „Kornel i Przyjaciele” wiszą portrety bohaterów tego artykułu i możemy się tu zapoznać nie tylko z twórczością Kornela Filipowicza, ale także wielu znanych pisarzy, którzy czytali tu swoje utwory.

* * *

Wspominałam już, że Wisława Szymborska poznała Kornela Filipowicza tuż po wojnie, ale mocne uczucie połączyło ich dosyć późno. Ona była już dobrze po czterdziestce, on miał dziesięć lat więcej. Oboje byli już „po przejściach”, pierwsze nieśmiące listy wymienili w 1966 roku. Filipowicz pisał do niej na pocztówce: „Ma Pani w Pradze wielu wielbicieli”. Prawdopodobnie spotkał się wówczas z Josefem Vláškem, czeskim tłumaczem swoich książek, bo właśnie w tym roku wydano w Cze-



chostowacji jego „Jeńca i dziewczynę” („Zajatec a dívka”, 1966), a potem następne książki („Zahradka pana Nietschka”, 1969; „Co je v člověku”, 1974 oraz słowackie „Motivy”, 1978, tłum. Jozef Gerbóc).

Gdy w nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 roku wojska Układu Warszawskiego weszły do Czechosłowacji, Filipowicz robił właśnie korektę swoich opowiadań i okazało się, że cenzura zakwestionowała jedno, noszące tytuł „Krajobraz, który przeżył śmierć”. Napisał wówczas: „Boję się, Wisławo, że na długi czas zostaniemy zamknięci wewnątrz naszego bloku i odcięci od świata, nie mówiąc o tym, że zamkną nam także usta. Powinniśmy być bliżej siebie”. Poetka odpowiedziała: „Najlepiej w życiu ma Twój kot, bo jest przy Tobie”. Ich korespondencja została opublikowana w 2016 roku właśnie pod takim tytułem-cytatem z listownych westchnień poetki.

Nie ma w tych listach pikantnych szczegółów, są żarty, docinki, autoironia, zwłaszcza gdy mowa o problemach albo niedomaganiach zdrowotnych obydwójga. W stanie wojennym omawiane są np. niedostatki ryb w diecie Kizi, kotki Filipowicza; jej należały się najlepsze kąski, choć pan i jego partnerka czasem niedojadali. Z kolei kotka Mizia jest bohaterką słynnego wiersza Szymborskiej „Kot w pustym mieszkaniu”, który powstał po śmierci jej życiowego partnera w 1990 roku. Poetka była zawsze bardzo dyskretna i dzielna, nie znajdziemy uzalania się nad sobą w jej listach ani rozpacz w wierszach, pisanych

w trudnych sytuacjach życiowych. To postawa rzadko spotykana w naszych czasach, gdy niemal wszystko jest na sprzedaż. Nic więc dziwnego, że ktoś napisał tak prosto z mostu w recenzji: „My co najwyżej możemy dowiedzieć się, w jakim stanie ducha był kot Filipowicza po jego śmierci”.

* * *

Warto pamiętać, że lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte były okresem najbardziej twórczym w pisarstwie Filipowicza, jego opowiadania tłumaczono i wydawano w różnych krajach. Ale miał jeszcze inne pasje, przede wszystkim wędkarstwo, stąd również we wspomnianej korespondencji wiele miejsca zajmują ryby, łowione przez pana Kornela podczas wędkarskich wypadów. Czasem ich uczestniczką była pani Wisława, która zbierała grzyby, wiązanki kwiatów albo stała z podbierakiem (przez znajomych wędkarzy była nazywana „Panią Podbierakową”). Filipowicz wrzucał małe ryby z powrotem do wody, bo był rybakim honorowym i czasem zdarzało się, że jego partnerka musiała otworzyć konserwę ze słowami: „Kornelu, jak zwykle możemy liczyć na Centralę Rybną”.

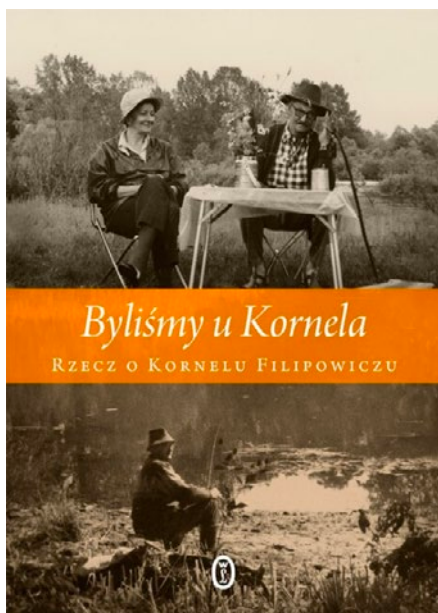
Pasjonowało go również kajakarstwo, numizmatyka, był zbieraczem i majsterkowiczem, czego ślad znajdujemy w okazjonalnym wierszu Szymborskiej „Męskie gospodarstwo”:

*Należy do tych mężczyzn,
co wszystko chcą robić sami.
Trzeba go kochać łącznie
z półkami i szufladami,
Z tym, co na szafkach,
w szafkach i co spod szafek wystaje.
Nie ma rzeczy, co nigdy na nic się
nie przydaje.
/.../
Jakieś trzonki do czegoś, skrawki skór,
strzępy koca,
mnogość kluczy i gwoździ i bardzo
chłtopięca proca.
A gdyby – zapytałam – wyrzucić stąd to
czy owo?
Mężczyzna, którego kocham,
spojrzał na mnie surowo.*

Takich wierszyków, rymowanek powstało całe mnóstwo. Oboje sprawiali wrażenie,

że świetnie się ze sobą bawią, lubili płatać figle sobie i bliźnim, którzy czasem nie rozumieli, że te ich żarty wynikają z sympatii i patrzyli na nich jak na duże dzieci. Nie wolno zapominać, że te zabawy i gry towarzyskie, loteryjki z kiczowatymi nagrodami, na które zapraszali przyjaciół, były formą samoobrony przed szarością i absurdami życia codziennego w PRL-u.

„Z nim pojechałabym na koniec świata”, mówiła poetka po śmierci Filipowicza, gdy pytano ją o ich wspólne wyjazdy. Często wspomina się o ich odwiedzinach Cieszyna, gdzie jest rodzinny grób Filipowiczów, odwiedzali też targi staroci, bo byli zbieraczami starych pocztówek. Filipowicz wprowadził ogromną część swego życia spędził w Krakowie (dokąd wyjechał w 1933 roku, by podjąć studia na wydziale biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego), w pewnym sensie jednak do końca swoich dni pozostał „provincjuszem z Cieszyna”. We wznowionych niedawno „Opowiadaniach cieszyńskich” Kornela Filipowicza jest opublikowana rozmowa z Wisławą Szymborską i warto raz jeszcze przywołać jej fragment:



Bardzo lubiłam jeździć do Cieszyna. I nie tylko dlatego, że w miłym towarzystwie. Coś było w ludziach, w atmosferze tego miasta, co wydawało się rzadkie. Zapytałam kiedyś Kornela, na czym właściwie ta inność polega. „Może stąd – odpowiedział – że tutaj ludzie częściej niż gdzie indziej patrzą sobie prosto w oczy”.

Czasy się zmieniły, ale przypomniaty mi się słowa krytyka literackiego Tadeusza Nyczka dotyczące już nie cieszyńiaków, ale tej niezwykłej pary starszych ludzi: „Miałem wrażenie patrząc na nich razem, że nawet siedząc tyłem do siebie patrzą na siebie”.

* * *

Kornel Filipowicz zmarł we śnie, w swoim mieszkaniu, Wisława Szymborska towarzyszyła mu do końca. Wszyscy znają jej wiersz o kocie w pustym mieszkaniu, w szkołach porównuje się go z trenem X („Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziata?”) Jana Kochanowskiego albo wierszem Bolesława Leśmiana „Urszula Kochanowska”. Ja jednak na zakończenie przywołam inny przejmujący wiersz, „Pożegnanie widoku”, który głęboko do mnie przemawia.

*Nie mam żalu do wiosny,
że znowu nastąpi.
Nie obwiniam jej o to,
że spełnia jak co roku
swoje obowiązki.*

*Rozumiem, że mój smutek
nie wstrzyma zieleni.
Żdźbto, jeśli się zawaha,
to tylko na wietrze.*

*Nie sprawia mi to bólu,
że kępy olch nad wodami
znowu mają czym szumieć.*



*Przyjmuję do wiadomości,
że – tak jakbyś żył jeszcze –
brzeg pewnego jeziora
pozostał piękny jak był.
/.../*

*Na jedno się nie godzę.
Na swój powrót tam.
Przywilej obecności –
rezygnuję z niego.*

*Na tyle Cię przeżyłam
i tylko na tyle,
żeby myśleć z daleka.*

Korzystałam z następujących publikacji:

Kornel Filipowicz: „Opowiadania cieszyńskie” (2000)

„Byliśmy u Kornela. Rzecz o Kornelu Filipowiczu” (2010)

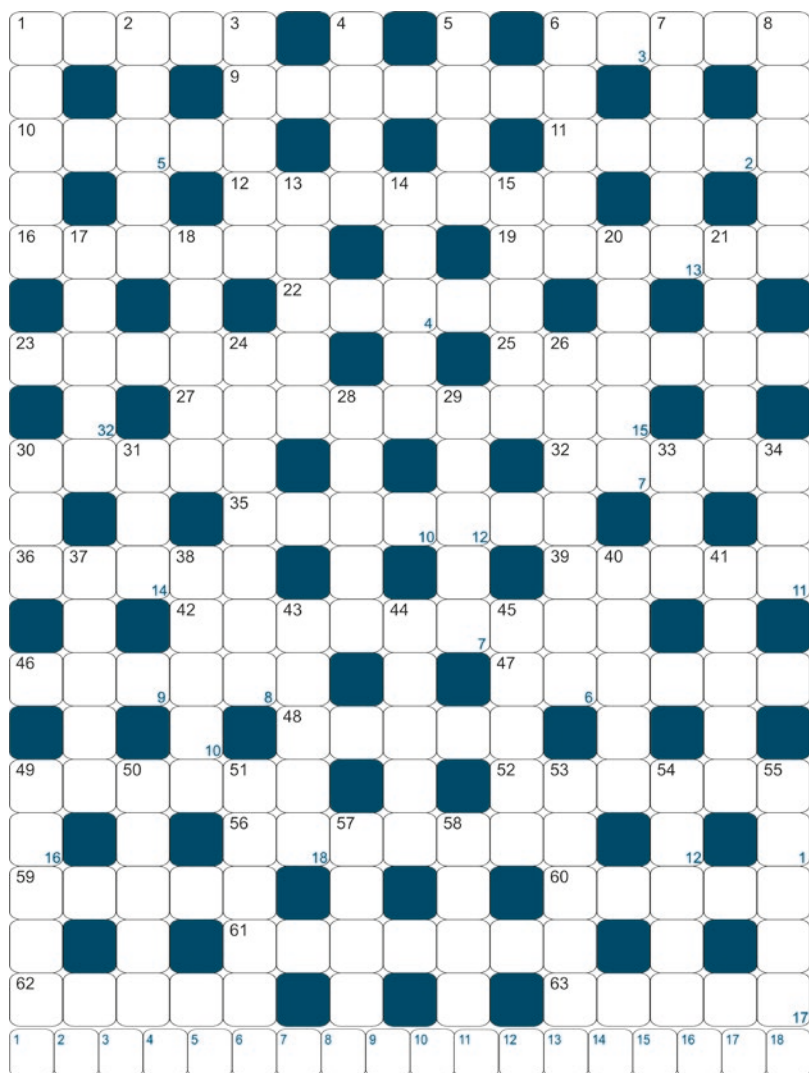
Jan Pieszczachowicz: „Ku wielkiej opowieści. O życiu i twórczości Kornela Filipowicza” (2011)

Kornel Filipowicz, Wisława Szymborska: „Najlepiej w życiu ma Twój kot. Listy” (2016)

Justyna Sobolewska: „Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu” (2020)

**Szukasz prezentu?
Zamów prenumeratę „Zwrotu”**

Napisz na info@zwrot.cz, a my przygotujemy bon podarunkowy dla Twoich najbliższych.

**POZIOMO:**

1. wał pod torami
6. mimowolny skurcz mięśnia
9. znawca sztuki
10. trofeum Indianina
11. szlak telekomunikacyjny
12. wysoki obcas damskiego bucika
16. żałobny utwór liryczny
19. głęboki u zasapanego
22. bliźna na środku brzucha
23. jabłko Adama
25. literackie wyzwicko
27. wolnomularstwo
30. *Na zdrowie!*
32. pień zrąbanego drzewa
35. poznanie za pośrednictwem zmysłów
36. port w Szwecji z promem do Świnoujścia
39. budowla z kart
42. wykonuje sekcje zwłok
46. konkurent Toyoty
47. *jaslinek* z rodziny pierwiosnkowatych
48. mieszkaniec Addis Abeby
49. obrońca czystych wód
52. arkuusz poprawek w książce
56. gra z dwiema pełnymi taliami kart
59. uskrzydłony stróż
60. ma zastosowanie w udownictwie
61. zwolennik medycyny klasycznej
62. botaniczny lub zoologiczny
63. nałóg

PIONOWO:

1. sprzęt do transportu rannych
2. staropolska miara długości
3. bezalkoholowy napój gazowany
4. obszar równinny
5. produkt z huty

6. magazyn
7. papiery wartościowe
8. tłoczy powietrze do pieca kowalskiego
13. rezerwa
14. kończy walkę dźwadoków
15. pies myśliwski o zwisających uszach
17. bardzo wolne tempo muzyczne
18. zdobi mury budynku
20. gałąź nauki
21. dzika bylina lecznicza
24. pulpit dla wykładowcy
26. konny uczestnik korridy
28. kopia oryginału
29. król Wizygotów
30. kabaret Laskowika i Smolenia
31. niski głos kobiety
33. najcięższy z metali
34. klub futbolowy ze Sztokholmu
37. aglomerat
38. żagiel skośny między grotmasztem i bezanmasztem
40. honorowe wyróżnienie
41. kraj królowej *Kleopatry*
43. drugie, co do wielkości jezioro Europy
44. śmietanka towarzyska
45. zbyttnia pewność siebie
49. muza poezji miłosnej
50. nie trzebiony samiec konia domowego
51. kompres
53. wielka awantura
54. najbardziej czynni społecznie
55. znany polski poeta
57. dekoracyjna rura jarzeniowa
58. przyjaciel *Ne!*

ROZWIĄZANIE DODATKOWE
(Jego przyłbica i ostoja)

Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przesyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do **8 października 2023**.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 8/2023: Chałupy welcome to.

Nagrodę, bon do Vinotéki Jakub, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje Jan Kantor z Gutów. Gratulujemy!



VINOTÉKA JAKUB

**NAJLEPSZE
WINA W
CENTRUM
CZESKIEGO
CIESZYNA**

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN

19 Już po raz dziesiąty *na pasiōnku* w Nydku u gazdy Michała Milerskiego odbyło się *Strzigani owiec*. Impreza, która łączy przyjemne z pożytecznym, z roku na rok przyciąga coraz więcej miłośników tradycji i folkloru. Głównymi organizatorami tego ciekawego wydarzenia są Miejscowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Nydku, Gmina Nydek, SCHOK (Stowarzyszenie Hodowców Owiec i Kóz) oraz nydeccy gospodarze na czele z Michałem Milerskim. To właśnie Michał Milerski wraz ze swoją żoną Danutą są siłą napędową całej imprezy. Widzowie mogli usiąść w „amfiteatrze” na belach słomy, które służyły za siedziska. Na drewnianej scenie wystąpili tradycyjnie *Trombitáši Štefánikovci*, kapela góralska *Bezmiána*, w kameralnym składzie zatańczył Zespół Folklorystyczny *Bystrzyca*. Dzień wcześniej odbyło się seminarium zatytułowane *Owce i pasterze*. Uczestnicy seminarium dyskutowali m.in. o wspólnej drodze owiec i ludzi, o pasterstwie w piosenkach, opowiadaniach, o pasterskim grananiu i śpiewaniu, o *baczowaniu* w polskich Karpatach czy o kulturowym dziedzictwie wypasania owiec. Rozmawiano też o tym, jak chronić stada owiec przed atakami drapieżników. W seminarium brał udział również Milan Margetin, który mówił o sytuacji na Słowacji. ▼



20 W ogrodzie Domu PZKO w Gutach odbyły się 55. Dożynki Śląskie. Po trzech latach ponownie wyruszył również korowód dożynkowy. Organizatorzy przygotowali bogaty program oraz wyśmienite dania. Pochód dożynkowy tradycyjnie wyszedł z miejscowego końcowego przystanku autobusowego i kierował się w stronę PZKO. Na czele kroczył Zespół Taneczny *Trzanowice* i orkiestra dęta *Jablunkovanka*. W tym roku rolę gospodarzy dożynkowych przyjęli najstarszy syn prezesa guckiego PZKO Jan Kaleta wraz z żoną Michaelą. Obrządek dożynkowy wykonał Zespół Taneczny *Trzanowice*. Gospodarzom został przekazany chleb oraz wieniec dożynkowy. Na scenie w tym dniu pojawił się również Zespół Pieśni i Tańca *Olza* z Czeskiego Cieszyzna, zespoły *Chórek* i *Chóreczek* z Suchej Górnjej, zespół *Dudoski* z zaprzyjaźnionej gminy Jasienica oraz orkiestra dęta *Jablunkovanka*. Na widowni obecni byli również zaproszeni goście, między innymi konsul generalna RP Izabella Wołłejko-Chwastowicz, prezes ZG PZKO Helena Legowicz, prezydent miasta Trzyńca Věra Palkovská. ▼



24 Goście filii Biblioteki Miejskiej w Hawierzowie mogą do końca października oglądać najnowszą wystawę fotografa z Suchej Górnjej Romana Dzika pt. *Milczący świadkowie wydobycia węgla w Karwińskim*. Ponad trzydzieści zdjęć powstałych na terenie Hawierzowa, Suchej Górnjej, Karwiny oraz Dąbrowy umieszczono obok stałej ekspozycji *Historia węgla zapisana*. ▼



26 W Nawsiu dziękowano za plony. Dożynki w Nawsiu organizują wspólnie gmina Nawsie i firma Netis. Uroczystości rozpoczęły się w kościele ewangelickim. Pastor Jan Fojcik pobłogosławił dożynkowy chleb. Robert Ciešlar, dyrektor firmy rolniczej Netis, zmówił modlitwę dziękczynną za plony. Spod kościoła do gminnego centrum kultury wyruszył korowód dożynkowy. Program rozpoczął występ połączonych chórów *Melodia* z Nawsia i *Gorol* z Jabłonkowa. Tegorocznymi gospodarzami zostali Igor Sikora z żoną Lenką oraz wójt gminy Marian Waszut z żoną Jolą. Wystąpiła orkiestra dęta *Jablunkovanka*, zatańczył zespół *Drevár*. Publiczność świetnie się bawiła przy dźwiękach zespołów *Nebe* oraz *Adam Bubík Bend*. Do późnych godzin do tańca przygrywał DJ Václav Švenda. ▼



26 W Bukowcu obchodzono uroczystości 670-lecie gminy. Częścią obchodów było też otwarcie nowego boiska i ogrodu szkolnego obok polskiej szkoły podstawowej. ▼



26 W Oldrzychowicach odbyły się *Dożynki na Fojstwiu*. W tym roku Miejscowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Oldrzychowicach przygotowało dla swoich gości wyjątkowe atrakcje. Przez wieś przejechała parada traktorów, ciągników, kosiarek i innych pojazdów rolniczych używanych na co dzień w pracy na roli przez oldrzychowickich gospodarzy. Maszyny rolnicze ozdobiono wiązkami zboża, ziołami i transparentami z hasłami. Barwne korowód w strojach górali śląskich i strojach cieszyńskich przeszedł z centrum wsi na *Fojstwiu*. Następnie pochód został przywitany w drzwiach przez tegorocznych gospodarzy dożynek – państwa Jiřinę i Edwarda Königów. Wieniec i chleb zostały wręczone na scenie przy pieśni *Gore lipka, gore*. Gospodarz podziękował za dary oraz zarecytował wiersz zaolziańskiej poetki Anieli Kupiec zatytułowany *Skibeczka chleba*. Na scenie na *Fojstwiu* wystąpił najpierw dziecięcy zespół *Małe Oldrzychowice* i Zespół Taneczny *Oldrzychowice*. Gościnnie zaprezentował się Zespół Taneczny *Trzanowice* z tańcami cieszyńskimi. Przed nimi wystąpiły *Dziecka z Trzanowic*. ▼



26-27 Scena Polska zagrała na terenie byłej kopalni Barbara w Karwinie spektakl *Krzywy kościół*.

26-27 W Trzanowicach odbył się trzydniowy *Trzanowicki jarmark*, który w niedzielę zakończył się tradycyjnym odpustem. W kościele odprawione były uroczyste msze. Nie brakowało stoisk, karuzeli. W uroczystości uczestniczyli wszyscy mieszkańcy wsi – dorośli, młodzież oraz dzieci. Swoje stoisko miało też Miejscowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego Trzanowice.

26-27 Jak co roku w ostatni weekend sierpnia członkowie i sympatycy Miejscowego Koła PZKO w Olbrachcicach wyruszyli na wycieczkę, by poznać piękno polskiej architektury, ciekawe wątki historii i wyjątkowe elementy kultury. Tym razem wybór padł na Dolny Śląsk. Za cel obrano cztery miasta – Legnicę, Bolesławiec, Lwówek Śląski i Jelenią Górę. ▼



27 Ruszyły XXI Światowe Letnie Igrzyska Polonijne. Wzięło w nich udział ponad 600 uczestników z 24 krajów. Najliczniejsze ekipy w tym roku wystawiły Czeszy i Litwa. Oba kraje reprezentowało po 114 uczestników. Ceremonia otwarcia miała miejsce w Nysie. Patronat honorowy nad igrzyskami objął prezydent An-

drzej Duda. Znicz olimpijski zapalili wspólnie dwukrotni złoci medalści letnich igrzysk olimpijskich: Renata Mauer-Róžańska (strzelectwo) oraz Tomasz Kucharski (wioślarstwo). Przysięgę złożyli w imieniu zawodników Aneta Koczan z Litwy oraz Mateusz Bartnicki z Czech. Igrzyska w tym roku odbywały się na terenie trzech miast – Nysy, Głuchołazów i Wrocławia. Organizatorem Igrzysk było Stowarzyszenie *Wspólnota Polska* wraz z Ministerstwem Sportu i Turystyki RP oraz Polskim Komitetem Olimpijskim. W klasyfikacji łącznej na pierwszym miejscu znalazła się reprezentacja Polaków z Czech, która zdobyła łącznie 161 medali. Druga w klasyfikacji łącznej Litwa wywalczyła 117 medali. ▼



27 Dziewięciosobowa delegacja członków Miejscowego Koła PZKO z Bogumina-Skrzecznia na czele z prezesem Koła Czesławem Gałuszką przybyła do Grodkowa na Dożynki Gminne. Imprezę zainaugurowała uroczysta msza dożynekowa w kościele św. Michała Archanioła, po czym przy dźwiękach orkiestry dętej korowód dożynekowy i uczestnicy przybyli na stadion miejski. Tam burmistrz Grodkowa Marek Antoniewicz serdecznie przywitał przedstawicieli władz miejskich i wojewódzkich, delegację zaprzyjaźnionych miast partnerskich Bogumin, Beckum i Heringsdorf oraz podziękował rolnikom za ogromny trud i poświęcenie podczas tegorocznych żniw oraz przygotowanie przebiegających Dożynek Gminnych.

28 Gródek, który jest laureatem etapu wojewódzkiego konkursu o tytuł Wioska Roku (Obec roku), gościł członków komisji konkursowej, tym razem etapu krajowego. Komisja odwiedziła też Dom PZKO, gdzie prezes Magda Ćmiel przedstawiła działalność tej organizacji oraz Polaków mieszkających w Gródku. Kolejnym punktem spotkania było wystąpienie kabaretu *My*, który zaprezentował krótką, pełną humoru scenkę. ▼



*** W sierpniu w Macedonii Północnej odbył się międzynarodowy konkurs *Ohrid Choir Festival*. Udział brały w nim m.in. chóry z Republiki Czeskiej i Polski, w tym Chór Dziecięcy *Trallala* Polskiej Szkoły Podstawowej w Czeskim Cieszyńsku. Zespół zajął pierwsze miejsce w kategorii chórów dziecięcych do 15 lat oraz zdobył wyróżnienie za najlepszy dobór repertuaru. *Ohrid Choir Festival* trwał w dniach od 24 do 28 sierpnia w historycznym mieście Ochryda.

PAMIĄTKA RODZINNA

BUTELKA KMINKÓWKI Z WYTWÓRNI LIKIERÓW HERMANNA LÖWA, OKRES MIĘDZYWOJENNY

Własność: Tadeusz Nowak / Przygotowała Sylwia Grudzeń



Butelka z przezroczystego szkła z częściowo zachowaną etykietą z napisem: HERMANN LÖW / FABRIK FEINSTER LIQUEURE / MISTEK-KOLLOREDOV / MÄHREN. W środku znajduje się oryginalny alkohol w kolorze brązowym.

Butelka jest oryginalnie zaplombowana. Jest to butelka zachowana z wesela Wiktorii z domu Prymus i Eduarda Nowaka w 1932 roku. Więcej na ten temat w środku numeru.

Wytwórnia Hermanna Löwa działała w Koloředovie w Místku od 1960 roku. Hermann Löw pochodził z Frydlantu nad Ostawicą, gdzie się urodził 2 kwietnia 1829 roku. W 1905 roku firma została przekształcona w spółkę. Wspólnikami zostali Hermann, najstarszy syn Jindřich, żona Fanny i młodszy syn Emil Löw. Hermann Löw zmarł w 1906 roku, a zarządzanie firmą przejął jego syn Jindřich. W 1919 r. firma zmieniła nazwę na "Hermann Löw, wytwórnia likierów, wódek, soków owocowych, marmolad, win owocowych, słodkich, gorzkich i piołunowych oraz handel nimi". W czasie wojny wytwórnię przejął jako własność żydowską zarządca Karel Ladek. Właściciele wytwórni zostali wysłani do obozu koncentracyjnego w 1941 r. i tam zginęli. W 1948 r. firma została znacjonalizowana i należała do Ostrawskich Zakładów Gorzelnicznych.

Na podstawie: Eva Vojkovská: Zmizelé domy v Koloředově, [w:] Sborník archivu ve Frýdku-Místku, 2013, s. 9-47.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylvia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.